Rok I. We Lwowie. Dnia 25. Stycznia 1894. Nr. 2.

SŁOWO POLSKIE

DWUTYGODNIK

POŚWIĘCONY SPRAWOM SPOŁECZNYM, POLITYCE, LITERATURZE I SZTUCE.

Prenumerata we Lwowie:		Prenumerata z przesyłką:	
rocznie	12 koron (6 złr. — ct.)	rocznie	13 koron — ct. (6 złr. 50 ct.)
półrocznie	6 „ (3 „ — „)	półrocznie . . .	6 „ 30 „ (3 „ 30 „)
kwartalnie	3 „ (1 „ 50 „)	kwartalnie . .	3 „ 15 „ (1 „ 65 „)

Cena jednego numeru 30 ct.

Prenumerować można w Administracyi pisma, w Biurach Dzienników oraz we wszystkich księgarniach lwowskich i prowincyonalnych.

Redakcya i Administracya mieści się przy ulicy Kopernika l. 6.

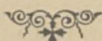
OD REDAKCYI:

Dzielimy się z czytelnikami naszymi radosną nowiną, że czcigodny nestor powieściopisarzy polskich **T. T. Jeż**, który już zasilił naszą tekę swojemi utworami, przyrzekł nam *stałe* współpracownictwo.

Korespondencye T. T. Jeża będą nosiły tytuł »Z obcego świata«.

Niemniej pan Władysław Kozłowski, znany zaszczytnie z prac swoich w dziedzinie filozofii i psychologii przyrzekł nam swoje współpracownictwo w tej gałęzi wiedzy.

Oprócz wymienionych poprzednio wstąpili do grona współpracowników »Słowa Polskiego«.: Ernest Adam, Leon Dziubiński, Bronisław Komorowski, Kaźmierz Rosinkiewicz (Rojan), Mieczysław Radziszewski.



Styczniowa rocznica.

Od rozbioru Ojczyzny naszej każde nasze powstanie, każda nowa walka o niepodległość spotykały się z sympatyą, z podziwem i oklaskami całego cywilizowanego świata, czy stał na czele narodu nieśmiertelny wódz chłopski, towarzysz Waszyngtona, Tadeusz Kościuszko, czy marszałek Napoleona, książę Józef Poniatowski, czy generał Jan Skrzynecki, czy nieznany pruski podoficer Maryan Langiewicz — i temu dziwić się nie można; z pomiędzy wszystkich narodów Polska najlepiej odpowiadała wiecznym ideałom ludzkości, których się od dziecka uczymy we wszystkich szkołach, ideałom uświęconym przez religję »Ukrzyżowanego buntownika«, ideałom wyrzeźbionym we wszystkich umysłach przez odwieczne tradycye, które da Bóg, nigdy nie zaginą.

Szliśmy jeden przeciw dziesięciu, bezbronni przeciw mocarzom, *szaleni* przeciw uczonym, biedni przeciw bogatym, i mocowaliśmy się w nierównym boju za wolność, za lud, za Ojczyznę, jak znani każdemu szkolnemu dziecku Mojżesz, Brutus, Leonidas, jak Bruce Szkocki, Wilhelm Tell Szwajcarski, jak tysiące innych wojowników, których pamięć przyświeca każdemu narodowi, dbającemu o swoją godność i o swoje prawa. Nie było między nami Kserksesów, Faraonów, Czyngischanów, Fryderyków Wielkich, Bismarków, a tacy pomimo chwilowych powodzeń, nigdy się nie zapisują na białych kartach wszechludzkich dziejów, ludzkość się ich ostatecznie *zawsze* wypiera, zawsze uwielbia męczenników a nie katów.

A przed styczniowem powstaniem Warszawa dała przykład takiego zadziwiającego, męczeńskiego oporu, natchnionego przez wielkich naszych emigracyjnych mistyków, takiego iście chrześcijań-

skiego poświęcenia się dla idei, że nawet najnowsze europejskie pokolenie, już przyzwyczajone do »siły przed prawem«, musiało mimowolnie głowę skłonić i podziwiać w milczącem skupieniu ofiary 8 kwietnia i naród który je wydał.

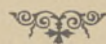
To wystarcza by wytłómaczyć dla czego, do ostatnich czasów, sprawa Polska należała do ulubionych dla każdego inteligentnego człowieka, pojmującego, że przemoc jest rzecz zwierzęca, ze człowiek tem właśnie góruje nad bydlęciem, iż może gardzić bydlęcą siłą i pożyczyć sobie przewagę z takich źródeł, z których zwyczajna materyalna istota nigdy ich poczerpnąć nie potrafi.

Śród oklasków całego świata głos potępienia, po każdej klęsce, wychodził zawsze z pośród nas samych, jak bywało od początku świata we wszystkich podobnych wypadkach. Targowica potępiła Kościuszkę, Czartoryjski, minister „*błahosławlennawo*“ Aleksandra I., szkalował księcia Józefa, cała krajowa »inteligencya« przeklinała Belwerdeczyków — a żadne powstanie nie zostało tak ogólnie potępione we wszystkich trzech zaborach jak powstanie 22. stycznia 1863 roku. Bo też, sądząc po *zwierzęcemu*, żadne nie było tak szalonem, tak pozbawionem wszelkiej wojennej podstawy. Kościuszko miał Wodzickiego, Madalińskiego i ostatki królewskich regimentów, Poniatowski miał Napoleona, Wysocki miał wyborne pułki Konstantego — a powstanie styczniowe nie miało nic, nie tylko broni żadnej, nie tylko żadnych sprzymierzeńców, ale nawet dzisiejszych wyćwiczonych landwerzystów. Mylił by się jednak bardzo ten, który by sądził że w tem tkwi rzeczywista przyczyna zawziętych szkalowań, które się od trzydziestu lat sypią na bojowników 63 roku. Powstanie styczniowe było rzeczywiście najsłabszem ze wszystkich porozbiorowych — ale pomimo to było *najdłuższem i najogólniejszem*, i najwięcej zrobiło dla usunięcie przyczyn naszego upadku, dla popchnięcia naprzód sprawy naszego odrodzenia; dla tego taka ogólna nienawiść tych, którzy nas do upadku doprowadzili, i którzy głównie temu odrodzeniu przeszkadzają. W styczniu pierwszy raz wystąpił lud cały, lud sam, bez wojska. i tem tylko może ciemięzcy uratować się potrafili, że zmiażdżywszy nas, dali nam choć część tych społecznych reform, które styczniowe powstanie napisało na swoich sztandarach; musieli przekupić, już nie magnatów, nie Targowiczan, odrzuconych jako zużyte narzędzie, ale cały lud wiejski, i tem samem dali całemu narodowi nową siłę, której już nikt od niego odebrać nie zdoła.

Sprawa społeczna, sprawa chłopska doprowadziła nas, sto lat temu, do politycznego unicestwienia; »więksi właściciele« sprzedali wolność swoją osobistą i wolność wszystkich swoich »uprzywilejowanych« mniejszych braci za ostateczne ujarzmienie poddanego, którego sami musieli, za polskich czasów, pilnować i wyzyskiwać na własne ryzyko, — a którego po rozbiorze ciemiężyły i wyzyskiwały — dla nich — krocie zaborczych wojsk i dobrze urządzone cesarskie policye. Taki stan długo trwać nie mógł, bo rządy zaborcze byłyby pozbawione wszelkiego zmysłu politycznego, a nawet najprostszego ludzkiego rozumu, gdyby haracz ludowy oddawały wszystek ni stąd ni z owąd polskiej arystokracyi, od której najmniejszej pomocy, oprócz bardzo wątpliwej moralnej, oczekiwać nie mógły; mając siłę zbrojną, bardzo im łatwo było wszystkie te dochody zabrać do prześwietnych kas rządowych. Posiadacze łudzili się nadzieją, przynajmniej w zaborze rosyjskim, że tradycya Katarzyny o »czterdziestu tysiącach policmajstrów«, o stałem zapisaniu chłopa do żywego inwentarza nigdy nie zaginie — ale się prędko rozczarować musieli. Pod ciosami francuskiej rewolucyi i Napoleona rząd pruski pierwszy musiał oswobodzić chłopa; Meternich dłużej przetrwał — do 1848 roku; ale Mikołaj stał jako niewzruszona opoka »czterdziestu tysięcy policmajstrów«, i dla tego, po rzezi galicyjskiej, Wielopolski udał się do niego, jako do ostatniego ratunku, oddawał się jemu, wyrażając się własnemi słowami margrabiego«, z serca i przekonania. Od dnia dzisiejszego stajesz się dla nas, Najjaśniejszy Panie, tem czemeś był poprzednio pomimo nas – naszym panem z łaski Boga, którego wyrokom poddajemy się. Nie wyłamujemy się z pod najgłówniejszego prawa twego państwa,

żadnych warunków nie kładziemy...« Tłomacząc po prostu te pompatyczne wyrazy, Wielopolski, jak przed nim Braniccy, Rzewuscy, Czartoryscy, jak po nim wielu innych, nie mniej historycznych osobistości, z przyjemnością pozwalał sobie dać baty, byle mógł je oddać z procentem swoim pokornym »poddanym«; to co szlachta rosyjska zrobiła już za Iwana Groźnego, zostało powtórzone za naszych czasów przez Jaśnie Oświeconych przedstawicieli wolnych i szlachetnych niegdyś polskich rodów. Ale grom styczniowy trzasnął — i dla przekupienia Maćka z kosą Aleksander musiał poświęcić nawet Wielopolskiego — bo rzeczywiście nie wiadomo czem by car mógł jeszcze przekupić margrabiego z Bożej łaski i jemu podobnych, chyba podzieleniem cesarstwa Rosyjskiego na sto tysięcy margrabstw i baronij. Co najbardziej dowodzi rzeczywistej siły i skuteczności *szalonego* powstania, wymuszone na carze uwłaszczenie najobszerniej zostało zastosowane dla tych właśnie, którzy śpiewali »Wtedy będziesz dyndał, carze!« najskąpiej dla tych milionów, które szły do boju *„za Carja i Ruś światuju“* — najwięcej zaś od zmiany stosunków ucierpiało najwierniejsze moskiewskie *dworzaństwo*, zbierające składki na wieńce dla Murawjowa i ubóstwiające Katkowa; moskiewska szlachta z kretesem przepadła, a nasza, pomimo szalonego ucisku, jeszcze dysze jako tako. Magnaci przetrwali i tu i tam burzą — ale oni to wszędzie potrafią, zostając carskimi lokajami.

Taką więc jest wobec historyi wiekopomna zasługa powstania styczniowego, i taką się ona co dzień jaśniej przedstawia, im więcej oddalamy się od ówczesnych wypadków, im więcej nikną w przeszłości klęski i straty pojedyńczych osobistości. Nie mówiąc o pośrednich jego politycznych wynikach, o austryackiej konstytucyi po Sadowej, o rozbiciu cesarskiego trójprzymierza, o upadku Napoleonidów — z powstania wyszedł pod zaborem rosyjskim polski chłop wolny ekonomicznie, świadomy swoich celów i swojej narodowości, zakładający za Oceanem Polską nową, Polską ludową, przygatawiający się do odbudowania Starej. Ci zaś, którzy powstania nie chcieli, którzy je potem hamowali, zostali zdruzgoceni przez tego samego wroga, z którym się bali wojować, i strąceni z pasożytnego stanowiska, muszą powiększać pracujące, produkcyjne zastępy narodu. To też tradycya styczniowa najgłębiej się zakorzeniła w narodzie, osobliwie w jego niższych warstwach, i kiedy czas złagodzi do reszty wszystkie rozdźwięki, błędy i występki ostatniej walki, jesteśmy pewni, że najulubieńszą tradycyą ludu, jedyną prawie dla niego historyczną spuścizną, po tej, która wspomina o »Racławickich kosach«, będzie ta, w której się będzie opowiadało jak »dziaduś szedł owa z kijem na bagnety«.



PREGLĄD POLITYCZNY.

Crispi zwyciężył. — Hydra anarchizmu chłopskiego zmiażdżona. — Procesy jakich mało, i w Sycylji i w Pradze. — Sądowe dowody po ciemku. — Vaillant i puszki od sardynek. — Milan *redux*.

Powstanie — albo niby powstanie sycylijskie zostało uśmierzone zwyczajnym sposobem. Rząd włoski posłał parę dywizyj piechoty, ze zwykłym akompaniamentem artyleryi i kawaleryi, generał *Morra* kazał wszystkim lojalnym obywatelom wydać władzom wszelką broń, sieczną, palną i inną — minister *Crispi* rozwiązał wszystkie robotnicze stowarzyszenia, tak zwane *fascii dei lavoratori* i »porządek« panuje znowu od cieśniny Messyńskiej aż do wysp Liparskich. — Prawda że w innych miejscach włoskiego królestwa, w Massie i Kararze robotnicy powstali; prawda że ogólne panuje we Włoszech oburzenie z powodu sycylijskich wypadków, ale wszystko wraca powoli, przynajmniej pozornie, do zwykłego porządku, który w tym wypadku jak w wielu innych, może być nazwanym *uorganizowanym nieporządkiem*. Taki stan rzeczy jest tem smutniejszy, że nowe państwo Włoskie jest, bądź co bądź, najsympatyczniejsze ze wszystkich dla nas Polaków, bo powstało ze zwycięztwa idei narodowości i odrodzenia zkrzywdzonego od wieków kraju;

a taka idea jest właśnie ta, do której się odwołujemy. Niestety! (i jest to wielką dla nas przestrogą) odrodzone Włochy nie umiały się wznieść po nad poziom zwykłej państwowości i urządziły się co prędzej podług wzoru tych mocarstw, które od wieków były uosobieniem ucisku i absolutyzmu, i tylko z musu przyjęły w ostatnich czasach te hasła wolności i autonomii, przeciw którym tak długo walczyły. Ta wielkopaństwowa zachcianka drogo już kosztuje Włochy i doprowadzi je do ostatniej ruiny jeźli się jej co prędzej nie pozbędą.

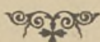
Ma się rozumieć, że podług urzędowych włoskich źródeł, wszystkiemu winni anarchiści, socyaliści, radykaliści, słowem najrozmaitsi *iści*, którym mieli stale pomagać zagraniczni (francuscy) agitatorowie. Jestto zwykła piosnka mężów stanu w takich wypadkach — a o tem, że robotnik umiera z głodu, że płaci do kas rządowych ćwierć, czasem aż do połowy swego nędznego dochodu, o tem nie warto, podług nich, nawet i wspominać. Spodziewamy się we Włoszech w najkrótszym czasie olbrzymiego politycznego procesu, *(procès monstre)*, z którego się pokaże, jak dwa razy dwa cztery, że nie głód, nie podatki, nie wyzyskiwanie i zła gospodarka — a wszystkiemu winni — anarchiści!

Daleko bliżej mamy już takie przedstawienie — słynny proces *Omladiny*, urządzony zupełnie dla takich samych celów, dla usprawiedliwienia wyjątkowych stanów. Ale co za nędzne przedstawienie! U nas przynajmniej w każdej najmniejszej konspiracyjce można zawsze odszukać »podburzanie do obalenia istniejącego porządku rzeczy« w postaci wzmianki o odbudowaniu *całej* Polski; nawet tego u *Omladinistów*, u tych strasznych szesnastoletnich zbrodniarzy politycznych, odszukać nie mógł dotychczas żaden prokurator; a bardzo by łatwo znalazł coś podobnego u czeskich i wiedeńskich *pandajczerów*, dążących prawie jawnie do rozbioru monarchii austro-węgierskiej, na korzyść wielkiej niemieckiej ojczyzny. Bo gdzież by się Czesi mieli podziać, kiedy wszyscy żyją pod berłem Habsburskiej dynastyi? Użyto więc widma moskalofilstwa, którego jednak dotychczas nigdzie w procesie nie widać, a w które uwierzyli *niby* nasi szanowni posłowie z koła polskiego. Moskalofilstwa radzilibyśmy im poszukać daleko bliżej, n. p. choć we Lwowie, i znaleźliby je z pewnością, tak jak znalazłby p. Plener »podburzanie do rozbioru monarchii« w samym Wiedniu, a najłatwiej w Libercu. I śmieszne to i smutne zarazem — ale napełnia nas wstydem przy myśli o tem, że przedstawiciele polskiej Galicyi *udają*, że wierzą w takie widma i łączą się dla czysto kastowych celów, z odwiecznymi wrogami wszystkiego tego co trąci słowiańszczyzną. Wszak wnuk bombardjera dał im dostateczne dowody — *po ciemku!*

Anarchiści istnieją jednak rzeczywiście — i ów paryzki szaleniec, *Vaillant*, niby proletarjusz, a w rzeczywistości najzwyczajniejszy wykolejony *burżua*, odpokutuje prawdopodobnie swój zamach pod nożem gilotyny. I tu zgroza nie wyłącza śmieszności — bo nie mówiąc o rzeczywistej odwadze prezydenta *Dupuy* podczas wybuchu, co za tryumf dla francuzkiego męztwa, że przysięgli nie dali się steroryzować, że się odważyli skazać zbrodniarza na śmierć! Ale strach nie minął zupełnie i podtrzymuje się przez paryzkich *gamenów* za pomocą rozmaitych garnków, garneczków i puszek od sardynek z zapalonemi lontami. Wszak rząd sławetnej francuskiej rzeczypospolitej ma tylko pół miliona wojska, oprócz policji i żandarmów, i nikt przeto, między stróżami porządku publicznego, nie może być matematycznie pewnym swego osobistego bezpieczeństwa. Nic dziwnego, że kraj w którym taka panika jest możliwą, nie może istnieć bez łaskawej pomocy czyjejś, na przykład »najjaśniejszego« Aleksandra III.

Ta pomoc nie uratowała jednak innych oportunistów, którzy od kilku miesięcy tak ślicznie wykierowali Serbję. Młodziutkiemu królowi serbskiemu, Aleksandrowi, sprzykrzyło się nareszcie gospodarowanie serbskich radykałów (są to radykali carscy, — najzupełniej podobni do p. Vaszatego) i zażądał pomocy swego szanownego ojca. Ostatnie telegramy donoszą już o przyjeździe Milana do Belgradu i dymisyi radykalnego gabinetu,

i jak zwykle o rozmaitych »środkach ostrożności«. Kto słyszał choć trochę o dawnem panowaniu eks-króla, zrozumie że lekarstwo może być gorszem niż sama choroba. Nie można się przeto spodziewać lepszych dni dla nieszczęśliwej Serbii, póki nie nastąpi gruntowne uzdrowienie narodowej politycznej moralności, bo ani radykałowie, ani postępowcy nigdzie dotychczas nie wykazali ani uszawania praw, ani nawet zwykłej, powszedniej uczciwości. Nie wolno nam zresztą, Polakom, zbyt gromić z tego powodu szczepu pobratymczego, koniecznie dla nas sympatycznego, bo pamiętamy, niestety! co się u nas działo sto lat temu, i nie jesteśmy pewni czy by się to teraz choć w części powtórzyć nie mogło — co uchowaj Boże! Musimy za tem poprzestać na życzeniach prędkiej poprawy, a jesteśmy żyjącym dowodem tego, do czego doprowadzają stronnictwa i rządzące osobistości podobne do dzisiejszych serbskich.



SPRAWY POLSKIE.

Kilka uwag na czasie.

Czy chwila obecna w Austryi sprzyja pracy spokojnej w sprawach gospodarczych i administracyjnych, pracy, która wedle mowy tronowej, powinnaby być niemal wyłącznem zadaniem także i Izby wiedeńskiej? Zdaje się, że nie tak bardzo. Albowiem pomimo usiłowań gabinetu Taaffego i obecnego rządu w duchu odsuwania na drugi plan wszelkich spraw drażliwych i drażniących, szczególnie politycznych reform, zapraszają się one jednak jak trapiąca zmora z siłą żywiołową i niespodzianie wchodzą na porządek dzienny. Długo broniąc się zręcznie przeciw wszelkiej „polityce“ i poruszaniu rzeczy ważnych i zasadniczych, gabinet Taaffego w końcu musiał uledz żądaniom ludów, poruszającym z gruntu organizacyę państwową i stosunki prawno - polityczne i przedłożył swoją reformę wyborczą. Przedłożenie to odpowiadało przynajmniej w części słusznym żądaniom ludności. Pomimo chęci widocznej wyzyskania i tej nieodzownej reformy dla centralizacyi państwowej, wzbudził ten projekt w tak szerokich kręgach poczucie prawa i siły do samodzielnego życia politycznego, że, jakkolwiek został usunięty na razie z porządku dziennego Izby wiedeńskiej, nie zeszedł jednak z porządku dziennego ludów.

Echo wypadków wiedeńskich odbiło się w kraju naszym, w Galicyi, szeroko i nie natrafiło na nieprzygotowany grunt. Nietylko bowiem gdzieindziej, lecz też i u nas żądano usilnie zmiany ordynacyi wyborczej: z jednej strony rzesza robotnicza wołała głośno o prawo powszechnego głosowania, z drugiej włościaństwo przez usta swych rzeczników domagało się uwolnienia z pod upośledzenia, jakiego doznaje przez wybory pośrednie. Sejm krajowy nad tą sprawą przechodził dotąd spokojnie do porządku tak, jakby większość sejmowa broniła swego stanu posiadania i jakby żądania powyższe nie były wymogiem sprawiedliwości społecznej i interesów narodowych. Obawiamy się, czy większość ta nie będzie się nadal kierowała zasadami niemal kastowemi i czy nie będzie twardo stała przy swych przywilejach. Uznać wprawdzie należy, że w sprawie zrównania ciężarów szkolnych i drogowych dla gmin i obszarów dworskich większość sejmowa wnioskami Badeniego i Paszkowskiego zrobiła ustępstwa na rzecz nieodzownego postępu, lecz obawiamy się, czy to nie będzie na razie ostateczne jej ustępstwo, i czy nie będzie się opierała tem silniej innym koniecznym zmianom na lepsze. Liczne fakta możnaby przytoczyć na uzasadnienie tych obaw. W każdym razie jest jasnem, że bez oporu z jej strony się nie obędzie.

Mniej zrozumiale przedstawia się postępowanie tego stronnictwa czy grupy sejmowej, które jako lewica sejmowa ma reprezentować obóz demokratyczny. Zwykle przedstawiciele pewnego stronnictwa są jego wiernem echem. W tym wypadku u nas tak chyba nie jest, bo odgłosem żądań obozu demokratycznego nie mogą być najdalej idące wnioski lewicy naszej, dotyczące powiększania liczby posłów z miast Lwowa i Krakowa. Wprawdzie ona zapoczątkowała politykę nakładową (inwestycyjną) kraju i przemogła opór prawicy; lecz nie poszła dalej i głos ludu wiejskiego, oraz wołania rzeszy robotniczej nie wywierają na nią wi-

domego skutku. Jak wytłomaczyć sobie ten objaw? Sama lewica pewnie rozstrzygnie niezadługo tę zagadkę i okaże się, czy głosy p. Rutowskiego i Szczepanowskiego są odosobnione, czy też są zapowiedzią politycznego bankructwa całego stronnictwa.

Koło polskie przekazało Sejmowi sprawę reformy wyborczej, kierując się zasadą autonomiczną, że sprawa ta powinna być przedewszystkiem omawianą w Sejmie i opinia Sejmu ma być tu stanowczą wskazówką.

Co do przekonań naszego jedynego Sejmu polskiego, to jest do przewidzenia, że w jego składzie obecnym będzie się wciąż powtarzał nieraz już używany argument o niedojrzałości ludu. Argument ten był wysuwany przeciw reformom koniecznym w chwilach bardzo stanowczych w 1791 i w 1831. Sobkostwo zaś i usypianie uczucia patryotycznego tym sposobem, jak okazało się, tak też się okażą w przyszłości niebezpiecznemi: skorzystali i skorzysta ktoś trzeci. A inaczej wyglądałaby dziś karta wschodu Europy, gdyby ten egoizm nie był przeszkodził rozpętaniu sił ludowych.

Ustawa gminna obecna podzieliła sztucznie ludność naszą rolniczą na 2 obozy wrogie sobie, bo stworzyła niepotrzebnie sprzeczne interesa z jednej strony dworu, z drugiej chaty. Rozdział ten wytworzył z jednej strony obojętność na dolę ludu i zyski materyalne, występujące tak rażąco w szeregu ustaw krajowych, jak szkolna i drogowa, że je w ostatniej chwili sami zachowawcy musieli usunąć, z drugiej strony nieufność zadawniona, przechodząca w nienawiść, ciemnota i fatalna gospodarka skutkiem odsunięcia od zarządu gminy pierwiastku inteligentnego, jakim jest wobec chłopa obszar dworski.

Pierwszy krok do zbliżenia się wyszedł od ludu w postaci wniosku posła Potoczka; spotkał się on z jednym tylko szlachetnym głosem uznawia z obozu większości sejmowej; reszta odpowiedziała wnioskami p. Pilata i Rutowskiego. Wnioski to ciekawe, a tendencya ich da się krótko ująć: „*Dobrzeby było mieć wpływ na zarząd gminy, trzeba nawet koniecznie ten element inteligencyi do niej wprowadzić, bo na braku jego cierpi cała administracya kraju; lecz zbyt przykro stracić dziziejsze korzyści, zbyt przykro na równi z chłopem ponosić ciężary publiczne*".

W tem świetle dopiero zrozumiałe są wnioski o gminie zbiorowej; tak je też lud zrozumiał, protestując na licznych wiecach za pomocą petycyi i prasy przeciw powyższym projektom.

Sprawa reformy ustawy gminnej, ważniejsza dla nas może na razie od kwestyi wyborczej, powinna być również na sesyi bieżącej rozstrzygniętą.

Czy można się po większości Sejmu spodziewać tyle patryotycznej ofiarności, tyle poczucia sprawiedliwości społecznej i ducha obywatelskiego, ile potrzeba, by dobrowolnie wzięła na barki ciężar, który włościanin sam jeden dźwiga? Czy większość sejmowa zrozumie, że losy ustawy gminnej zadecydują o losach narodu w tej części Ojczyzny, że usunięcie dotychczasowego rozdziału stanowego jest niezbędnem dla uświadomienia narodowego i obywatelskiego tego ludu, który, choć rdzennie polski, w szerokiej masie tak mało jeszcze posiada poczucia swej polskości.

W czasach dzisiejszych niepewnych, w chwili wrącej na całym obszarze Europy burzy społecznej, winniśmy najkwapliwiej naprawiać złe dawniej sprawione, usunąć wszystko, co dzieli społeczne warstwy i stanąć z gorącą miłością Ojczyzny i przyszłości na czele tych mas, dotąd upośledzonych, nie dopuścić, by ruch ludowy poszedł drogami wrogiemi naszej narodowości.

Podział na obszary dworskie i gminy chłopskie jest jednym z najcięższych krzywd przez wrogie rządy nam zrządzonych, podział to na naszą oczywistą szkodę obmyślany.

Dzielić i rządzić, zasada stara przez wszystkie rządy wyznawana. W imię tej zasady usuwa rząd rosyjski właścicieli większych posiadłości od udziału w sprawach gminy — a przecież inteligentne obywatelstwo polskie za kordonem nietylko płaci na równi z chłopem podatek od każdej morgi posiadanej roli, nietylko stosunkowo większe, niż chłop ponosi ciężary, ale w dodatku stara się wejść do zarządu gminy, pełnić obowiązki sędziów gminnych, i in. z zaparciem się pracuje dla dobra chłopskiej gminy, wiedząc dobrze, że w gminie tej jest przyszłość narodu. Spostrzegł to rząd wrogi i, nie przestając siać z jednej strony nieufności u ludu, utrudnia równocześnie wła-

ścicielom większej własności piastowanie urzędów gminnych.

To jest jedyna droga, która odpowiada naszym interesom narodowym; po niej tylko dążąc, możemy dojść do celu, jaki nam wszystkim od stu lat z górą przyświeca.

Rozumieli to patryoci nasi — od Kościuszki począwszy do dni dzisiejszych, ciągle oni tę drogę wskazują. Nawet w tym obozie, który dziś u nas decyduje, odzywały się za połączeniem obszarów dworskich z gminami bardzo poważne głosy, jak niedawno nawet np. hr. Cieszkowskiego z Poznania, który z całym naciskiem tę sprawę podnosił i niejednokrotnie słowem i pismem stawał w jej obronie.

Może wzgląd na ten wzniosły cel, na przyszłość naszą, przeważy względy kastowe naszej większości; boć przecież nie wolno nam wątpić o jej patryotyźmie.

Niechaj wreszcie nie zapomina, że decydując o reformie wyborczej i gminnej, wyda także wyrok na siebie, czy ma istnieć obok ludu, dopuściwszy go dobrowolnie do korzystania z równych praw, czy też lud ma zdobyć sobie to równouprawnienie i przejść nad nią do porządku. Niechaj nie zapomina, że lud jest jak ów siłacz z bajki, straszny, kiedy się obudzi i poczuje swą siłę. A ruch ludowy wre od lat kilku na całym obszarze naszego kraju, lud zaczyna organizować się w związki i swą siłę poznawać.

Chwila dzisiejsza jest bardzo poważną — ostatni to może czas do wprowadzenia na lepsze tory naszej nawy politycznej; lecz niestety dotychczasowa działalność większości sejmowej nie budzi zbyt różowych nadziei. Niechaj przynajmniej lewica sejmowa porzuci małoduszny oportunizm, niechaj otrząśnie się z żywiołów, nie dostrajających się do tego tonu, jaki przystoi temu stronnictwu jedynego w Polsce Sejmu, który reprezentować powinien Polskę demokratyczną. Ostatnie czasy smutne przyniosły doświadczenia; — wykazały, że w stronnictwie tem nie ma tej jedności, zgodności przekonań i tej świadomości sytuacyi, potrzeb i dążeń narodu, jakie w całej pełni powinni posiadać ludzie, których zadaniem jest stać na straży interesów narodowych i idei postępowej. Pomimo to wszystko, stronnictwo lewicy może i powinno odrodzić się; może i powinno zająć stanowisko zasadnicze, a stojąc przy niem twardo, nie oglądać się na ławy po prawicy, ale patrzeć za siebie, — i szukać oparcia w szerokich masach ludności, pomnąc, że te tylko dają podstawę, na której budować można.

Rzeczą lewicy sejmowej będzie z całą siłą poprzeć sprawę reformy wyborczej i reformy gminnej i bez względu na to, jak to przyjmie większość, tak długo zasadniczych spraw tych nie opuścić, dopóki nie wyjdzie zwycięsko.

Dla osiągnięcia celu tego znajdzie lewica w kraju silne poparcie; związek stronnictwa chłopskiego, organizujące się właśnie stronnictwo demokratyczne i cała rzesza luźnie rozsianych grup postępowych uczynią niewątpliwie wszystko, by tej lewicy nie zabrakło dowodów, że żądania jej są żądaniami całego kraju.

Czy poparcia tego będzie można udzielić istniejącej lewicy, — obecna sesya okaże.

Dwernicki.

Z sejmu.

Przebieg obrad. — Obrachunek usiłowań. — Wydział krajowy, jego skład. — Kwestye zasadnicze a przedłożenia Wydziału. — Wnioski posłów. — Niespodzianka. — Wniosek i mowa St. Badeniego. — Mała uwaga o spuściźnie i tradycyi. — Ustawa drogowa. — Wnioski Paszkowskiego, Jędrzejowicza, Żardeckiego, Olpińskiego, Klemensiewicza, Skałkowskiego. — Straszne cyfry. — Pożyczka u rządu i sól. — Wniosek Merunowicza o przymus assekuracyjny, Romańczuka o wybory bezpośrednie.

Dwa tygodnie obraduje już sejm galicyjski a jeżeli wierzyć można pogłoskom, to jesteśmy już w połowie sesyi tegorocznej. Oczywista, że w tych warunkach, prócz budżetu bardzo niewiele wniosków i przedłożeń doczekałoby się stanowczego załatwienia.

Jakkolwiek się stanie, warto rzucić chociażby pobieżnie okiem na usiłowania najwyższej naszej władzy samorządnej i poszczególnych jednostek dla dobra kraju podjęte i do poprawy stosunków naszych społecznych i ekonomicznych, tudzież do uregulowania naszej własnej gospodarki i podniesienia dobrobytu krajowego zmierzające.

Musimy przyznać otwarcie, że przedłożenia Wydziału krajowego nie imponują ani ilością, ani jakością treści i że wnioski poselskie dotychczas złożone lub ponowione wysunęły się na pierwszy plan.

Całkiem to naturalne nie tylko dla tego, że Wydział krajowy w obecnym swym skła-

dzie nie wiele a raczej prawie, że nie ma jednostek energicznych i pełnych inicyatywy a nadto zdaje się, że członkowie Wydziału obawiają się szczerego poruszenia i rozstrzygnięcia kwestyi zasadniczych, głębiej wnikających w nasze stosunki...

To też z obawy o »powagę władz autonomicznych« uznał Wydział krajowy, że zmiana smutnej pamięci ustawy drogowej nie jest na czasie, to też w kwestyi reformy ustawy gminnej, w sprawie pierwszorzędnego znaczenia Wydział z niczem nie przychodzi przed sejm — to też przedłożenia Wydziału prawie że nie wychodzą po za ramy zwyczajnej gospodarki i są przeważnie powtórzeniem znanych już projektów.

Natomiast nie można odmówić posłom, że nie zrażając się krótkością sesyi wystąpili z całym szeregiem wniosków wcale poważnych. Cała skala potrzeb i interesów kraju mieści się w tych wnioskach, obyż się doczekały *należytego* załatwienia.

Niespodziankę ogółowi zrobili posłowie z obozu zachowawczego, składając przez usta posła Stanisława Badeniego oświadczenie, że chcą w rocznicę Kościuszkowską dobrowolną złożyć ofiarę na cele oświaty narodowej i własnym kosztem ulżyć ciężarów ludowi. Według tego wniosku obowiązek zakładania i utrzymywania szkół ludowych pospolitych ciężyć ma wspólnie na gminach i obszarach dworskich, prestacye na utrzymanie nauczycieli mają dochodzić aż do wysokości 6% całej należytości wszystkich podatków stałych zarówno gmin jak i obszarów dworskich, i w tym samym stosunku mają iść wszystkie wydatki na wystawienie lub najem, utrzymanie wewnętrzne, opał i oświetlenie budynków szkolnych.

Mowa posła Badeniego uzasadniająca, powyższy wniosek, zrobiła wrażenie i, bezstronnie trzeba przyznać, górowała swą treścią i uzasadnieniem po nad wszelkimi przemówieniami i wnioskami w dotychczasowej sessyi. Dobrowolne przyjęcie na siebie stałego ciężaru jest ofiarą a wszelka ofiara zasługuje na uznanie.

Pozwolimy sobie jednak zrobić jedną małą uwagę. Poseł Badeni zakończył swą mowę wzmianką, że potomkowie ofiarnych posłów w ich wniosku znajdą dowód, jak oni chcieli spełniać swe obowiązki narodowe i społeczne. Otóż spełnianie tych obowiązków za pomocą ofiar pieniężnych jest niewątpliwie najcięższem. Dlaczego tedy, zapytamy, nie chcą posłowie konserwatywni raz przecie ponieść mniejszej ofiary w dziedzinie praw politycznych, dlaczego siłą mocą opierają się wszelkim reformom i życzeniom szerokiego ogółu na tej arenie, na której bezpośrednich ofiar stałych pieniężnych wcale nie potrzeba ?!

Byłaby to przecież równie piękna spuścizna dla potomków i równie piękne nawiązanie do tradycyi z przed 100 lat.

Obok wniosku posła Badeniego najbliżej stoi wniosek posłów Paszkowskiego i Stan. Jędrzejowicza o częściową zmianę ustawy drogowej. I ten wniosek ma na celu pewną ulgę dla ludności wiejskiej, lecz ustawa drogowa ma tak smutną przeszłość, że sztukowanie jej wątpliwą przedstawia wartość i daleko szczersze załatwienie sprawy przynieść może wniosek posłów Żardeckiego i Rayskiego, polecający Wydziałowi krajowemu przedłożenie całego projektu zmiany ustawy drogowej. Wnioski w tej sprawie nie są nowe a ponawianie ich może nareszcie usunie zbytnie obawy Wydziału krajowego o uszczuplenie jego powagi.

Nie bez doniosłości są wnioski posłów: Olpińskiego na niewyczerpany u nas temat zapobiegania lichwie, Klemensiewicza w sprawie uchylenia niewłaściwości przy asenterunku koni, Jędrzejowicza w sprawie zmiany ustawy o konkurencyi kościelnej w tym kierunku, aby pociągano do kokurencyi tych katolików, którzy w parafii nie mieszkają, ale w niej posiadają majątek nieruchomy. Wnioski te jednak muszą ustąpić pierwszeństwa innym ważniejszej dla kraju doniosłości. W sferę najważniejszych interesów ekonomicznych wkracza wniosek posła Tadeusza Skałkowskiego, który żąda szczerej, poważnej akcyi ratunkowej z funduszów kraju i państwa dla olbrzymiej masy ludności dotkniętej klęskami przeszłorocznemi.

Sprawozdanie Wydziału krajowego jest wymowną ilustracyą, jakiej doniosłości jest ta sprawa. W 36 powiatach było nawiedzionych powodzią 1684 gmin. Rodzin dotkniętych powodzią jest 72.020; obszar zalanych gruntów wynosi 242.880½ morgów, a wysokość szkód w plonach, zniszczonych budowlach, zabranych gruntach i t. d. wynosi 9 milionów 850.927 złr.!

Mimo, że nie wszystkie powiaty podały cyfrę potrzeb (brak dat dokładnych z 14 powiatów), oblicza Wydział krajowy cyfrę niezbędnych potrzeb na 2,434.145 złr., w czem

na samo czasowe wyżywienie ludności celem zapobieżenia głodowi wypada kwota 646.611 złr., na zakupno paszy i karmy dla inwentarza żywego kwota 592.658 złr., na zakupno nasion na zasiewy ozime i jare około 640.000 złr.!

Straszne iście cyfry — w obec których wniosek Wydziału o półmilionową »pożyczkę« bezprocentową od rządu wygląda dziwnie skromnie, a jeszcze dziwniej i skromniej wygląda akcya rządu, który w takich warunkach na prośbę o bezpłatne udzielanie soli bydlęcej dla ludności wiejskiej na poprawę paszy, odpowiedział pozwoleniem na przyspieszenie sprzedaży tej soli po 5 złr. od metrycznego cetnara! Prawdziwa to pomoc dla tych co z głodu giną...

Oby wniosek posła Skałkowskiego lepszą znalazł odpowiedź! Swoją drogą zaznaczyć musimy, że i ten wniosek żądający tylko wstrzymania ściągania podatków tam, gdzie należy żądać ich odpisania, uważamy za nadto skromny.

W tę samą sferę ekonomiczną wkracza znany już z poprzedniego roku pierwszorzędnej doniosłości wniosek posła Merunowicza, który się domaga zaprowadzenia przymusu asekuracyi od ognia. Czy ta sprawa doczeka się raz załatwienia?

Na teraz, wątpimy. Wprost zaś nie wierzymy, aby tak rychło nastąpiła zmiana ordynacyi wyborczej i zaprowadzone zostały wybory bezpośrednie w gminach wiejskich, jak tego domaga się poseł Romańczuk w niefortunnie stylizowanym swym wniosku. To nie Wiedeń, a i we Lwowie teraz — koalicya.

Otóż i wnioski poselskie. O przedłożeniach Wydziału krajowego będziemy mieli jeszcze sposobność wspomnieć kilka słów.

L.

Z pod zaboru rosyjskiego.

Z Polesia.

Umizgi rządu moskiewskiego względem ludu w przewidywaniu wojny. Translokacye wojsk. Forteca Zegrze. Ostatnia jedyna dywizya jazdy za Dnieprem i Dźwiną. Niepraktyczność nowo wprowadzonych karabinów. Wątpliwa pociecha.

Z głuchego naszego zakątka dawnej Rzeczypospolitej przesyłam do Waszego prawdopodobnie już narodzonego pisma wiązankę faktów, które może na wolnym szerokim świecie po za murami wielkiego naszego więzienia nie są wcale nowe. Nie brakuje przewrotności i sprytu naszym opiekunom i katom; lecz pierwsze przeważa nad drugiem. Muszą oni przewidywać bliskość wojny, może już na wiosnę przyszłą, jeżeli zwracają się do ludu naszego poleskiego z wyraźną zapowiedzią bliskiego starcia orężnego z Niemcami i Austryą. Oto pomiędzy Poleszukami obiegają oryginalne odezwy i broszury. W nich wystawione są dobrodziejstwa wyświadczane ludziom przez cara, i znajdują się elegiczne frazesy o miłości ojczyzny moskiewskiej. Przytem odmalowaną jest przeszłość w ten sposób, że lud jęczał w polskiej niewoli, która ustała dopiero gdy za ludem ujął się car oswobodziciel. Paradne jest przedstawienie, ile to włościanie zawdzięczają łask i dobrodziejstw carowi i jak mają okazać wdzięczność dla niego a miłość dla swej ziemi »russkiej«. Ponieważ, mówi gramota, czasy są niepewne, i lada chwila, już na wiosnę, może się zjawić najezdca prusak lub austryak, przeto trzeba się przeciw nieprzyjacielowi bronić. Lecz jak? Oto w ten sposób, że, skoro nieprzyjaciel przyjdzie, włościanie winni własny swój dobytek wraz z chałupą spalić, by wróg nie mógł nic dostać w swe ręce.

Autorowi takich odezwań się do ludu pokutuje po głowie rok 12-sty i ideał pokonania najazdu francuskiego przez spalenie Moskwy. Przeholowali tu mocno, bo nie znają widocznie ludu naszego, posiadającego bardzo nieokreślone pojęcie o patryotyźmie jakimkolwiek. Poleszuk nasz bowiem nie bardzo zna te ideały i absolutnie pojąć nie może, dla czego ma całe mienie swoje palić. Cóż to za interes, rozumuje sobie, nie czekać nieprzyjaciela a wszystko niszczyć? Czyż nie lepiej doczekać się go? Może on nie wszystko weźmie i może zapłaci za to, co weźmie? Te odezwy moskiewskie chybiają zupełnie celu. Jako wojskowy widzę w tem tylko to, że Moskwa prawdziwą linię obronną zamyśla utworzyć dopiero za Bugiem i lud poleski przygotowuje w tej mierze. Prawdopodobnie u nas będzie się ona na prawdę broniła i ustępując nie pozostawi kamienia na kamieniu. Miła to dla nas perspektywa! Przypuszczenie to potwierdzają fakta takie, jak dany niedawno wszystkim pułkom piechoty rozkaz przenoszenia się powoli z lewego na prawy brzeg Wisły, oraz budowanie nowej fortecy w Zegrzu z gorączkowym pośpiechem.

Wykończają ją obecnie, tworzą pułki forteczne i kompletują załogę. Wskazuje to na okoliczność znaną każdemu strategikowi, że Warszawa, jako forteca, nie da się utrzymać. Trzeba więc tworzyć punkt oparcia w Zegrzu przy linii bojowej nadbużnej, aby ku niemu spłynęło wojsko, które nie będzie się mogło utrzymać w Warszawie. Jako fakt rzucający światło na położenie obecne może służyć to, że 16. dywizya jazdy, przeformowana z pułków polskich i stale od 31 r. stojąca na Kaukazie za karę z powodu buntowniczego ducha, przeniesioną została do Królestwa Polskiego. W skutek tego za Dnieprem i Dźwiną jest tylko jedna dywizya jazdy (w okręgu Moskiewskim, I-a). Przytem dowiedziałem się, że tworzy się nowy korpus 17-sty linjowy z siedzibą... w Dorpacie.

Usposobienie decydujących naszych kół wojskowych nie może być bardzo wesołe, choćby tylko z przyczyny zawodu, jaki zrobiła nowo zaprowadzona broń repetierowa 7 o milimetrowa. Zdradzę wam bowiem wojskową tajemnicę, że nie bije ona dalej nad 1.500 metrów, przeto wcale nie jest lepsza od dawnych berdanów, a nie da się porównać z »manlicherami«. Donioslość bowiem karabinu Manlichera nie leży w tem, żeby na 3 wiorsty odległości trafiać z podniesionym odpowiednio wizyrem, lecz w tem, żeby żołnierz na jaką wiorstę lub pół wiorsty, kiedy nieprzyjaciela już widzi i słyszy i przez to traci zwykle zimną krew, mógł strzelać prosto do niego bez używania wizyru. Broń mniej dalekonośna niż manlicherowska wprawdzie zabija na 1.500 i mniej metrów ale trafia wtedy tylko, kiedy wizyr dobrze jest nastawiony, a trzeba go zmieniać za każdem 50 i 100 metrowem zbliżaniem się nieprzyjaciela. Żołnierz zaś nie zawsze trafnie oceni odległość i nie zawsze posłucha komendy, ustanawiającej wizyr, a dzieje się wtedy, że kule albo przelatują ponad głowy nieprzyjaciela albo w ziemię przed nim padają; najczęściej przenoszą, bo rozgorączkowany zbliżeniem się nieprzyjaciela żołnierz zapomina właściwie nastawić lub zniżyć wizyr. Nieprzyjaciel zaś, zbliżając się, idzie z coraz większym zapałem, widząc że strzelanina wroga go nie razi. Podczas wojny bułgarsko-serbskiej strzały serbskie pono coraz więcej górowały w miarę coraz większego zbliżania się Bułgarów, u których zapał rósł w tymże samym stosunku. Walka więc przyszła wojska rosyjskiego z »manlicherami« nie przedstawia się różowo każdemu dalej przewidującemu wojskowemu. Wprawdzie jenerał Dragomirów twierdzi, że w przyszłej wojnie jeszcze będzie decydował bagnet i stara broń palna, z którą żołnierz umie dobrze obchodzić się, a nie nowa, do której nie przywykł. Trudno mi stwierdzić czy w tem jest dobra wiara czy też łudzenie się wprowadzące w błąd siebie i drugich dla podtrzymania ducha.

Zalatuje i do nas wieść o Waszej wystawie. Życzymy jej jaknajświetniejszego powodzenia, lecz musimy wyrazić nasze obawy co do tego, czy ona nie będzie musiała być odłożoną, bo nie w naszej i w niczyjej mocy oddalenie gotujących się wypadków.

Poleszuk.

Z pod zaboru pruskiego.

Na czasie. Rok Kościuszkowski. Echa wystawowe. Z prasy poznańskiej. Komisya kolonizacyjna i Bank ratunkowy. Ostatnie wybory na Szląsku i cicha polityka.

Pismo wasze, jakiekolwiek znajdzie przyjęcie w społeczeństwie polskiem, a musi być przygotowane na to, że niejednokrotnie ten lub ów dyrektor od własnych interesów mniej życzliwem spoglądnie na nie okiem, toż przecie już dzisiaj nie ulega wątpliwości, że „*Słowo Polskie*“, jeśli potrafi rozwinąć swój program i stać się rzecznikiem ogólnych interesów narodowych, może zająć w prasie naszej stanowisko polskiego konsulatu, który wydawać będzie, dla każdej żywotnej myśli narodowej przepustki na wolny przejazd przez trzy granice — przez tę, którą zabory stworzyły, obojętność i partykularyzm ratyfikowały a duch wstecznictwa stańczykowskiego pragnie utrwalić. Jeżeli ostatnie kampanie parlamentarne dają wam pierwszą sposobność do uderzenia w zwarty szereg tych »obieszczyków«, tworzących honorową straż nadgraniczną, gdzie ideały narodowe, stosownie do mody, przebierane bywają w dziwaczne kostiumy, pstrokate domina, coraz mniej podobne do zwykłej polskiej szarej kapoty, znanej wszędzie; to z drugiej strony nie brak i takich wypadków, które jak u n i w e r s a ł y przebiegają całą Polskę, zrozumiane przez wszystkich, jakkolwiek pod nimi nie widać już kanclerskiej pieczęci... Za trumną Adama Mickiewicza szła cała Polska, stuletnią rocznicę 3-go maja święcili i pionierzy praw

wyjątkowych, w rocznicę upadku brakowało tylko tych, którzy bądź za nisko upadli, lub też za wysoko stanęli. Obecnie rok kościuszkowski daje nową sposobność wniknięcia w duszę społeczeństwa własnego. Z tych momentów, jakich będziemy w tym roku świadkami, mamy się przekonać, o ile tworzymy jeszcze organizm narodowy, do tego stopnia jednolity, że pomimo skrępowania jego członków, system nerwowy nie dotknięty paraliżem odczuwa i przenosi silniejsze wrażenia i potrzeby życia ogólnego. Wystawa lwowska, wykazując dorobek ostatniego pokolenia narodu polskiego, nie może jak tylko wydać zarazem świadectwo i tej żywotności naszej, która się odbija przedewszystkiem wspólnością pracy, skupieniem usiłowań i harmonijnością celu. Pocieszającym jest zatem objawem, że Polacy z pod zaboru pruskiego niemniej dobrze zrozumieli znaczenie wystawy kościuszkowskiej; to też każde silniejsze uderzenie młotem na wzgórzu stryjskiem dolatuje do nas echem i bywa witane z prawdziwym zapałem i radością. Jak się zanosi dzielnica poznańska na wystawie lwowskiej będzie należycie reprezentowaną, przedewszystkiem w dziale maszyn i płodów rolniczych; o ile zaś można już dzisiaj zmiarkować, bardzo wiele osób i zorganizowanych, gromadnych wycieczek, jeno pora nastanie, wyruszy w kierunku do Lwowa. Ale nietylko Księstwo pragnie dorzucić swoją cegiełkę. Polacy w Prusiech zachodnich krzątają się również, aby wziąć udział w tym narodowym popisie. Świeżo zorganizowany komitet na Prusy Zachodnie, w skład którego wchodzą pp. Teodor Broma z Chełmży, Emil Czarliński z Brąchnówka, Michał Szczaniecki z Nawry, Kaźmierz Ślaski z Orłowa itd. wydał właśnie w Toruniu odezwę, wzywającą ludność polską do wzięcia jak najliczniejszego udziału w obesłaniu Wystawy lwowskiej.

Ruszamy się zatem. *Dz. Poznańskiemu* należy się uznanie, gdyż on to już od dłuższego czasu pracuje w tym kierunku wytrwale, uświadamiając społeczeństwo tutejsze z postępami robót wystawowych i zachęcając do współudziału. Wogóle organowi temu, jakkolwiek w domowych sprawach nie należymy do jego bezwzględnych wielbicieli, musimy oddać tę sprawiedliwość, że szpalty swoje otwiera zawsze dla wszystkich dzielnic zarówno, wiadomości skrzętnie gromadzi z wszystkich zakątków Polski, a nie jak *Kurjer Poznański*, który całą mądrość wyssał od korespondenta z Wiednia lub z Krakowa. Wiedeński n. p. korespondent tego organu, który zazwyczaj dosiada na oklep wielkiego bucyfała polityki, od niejakiego czasu zazdroszcząc Falbowi wawrzynów, sam siebie pasował na proroka, druzgocąc radykałów, masonów, anarchistów, co prawda w parę lat po końcu świata, jaki pierwszy prorok przepowiada. Ostatnią razą pisząc n. p. o sprawie czeskiej, miał ten pan takie mniej więcej ciemnowidzenie: »Według naszej dokładnej znajomości tych stosunków (!) zwrot do zdrowej i rozumnej polityki nastąpi w Czechach około r. 1900, jeżeli aż do tego czasu dopisze koalicya parlamentarna i gabinet koalicyjny, rządzący z otwartością, bez wszelkiej dwulicowości i poskramiający z należytą energią prądy radykalne«. Ano poczekajmy!

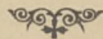
Wspomniałem w poprzedniej korespondencyi o świeżych nabytkach komisyi kolonizacyjnej, tą razą miałbym do zapisania ubytek kawałka ziemi w Prusach zachodnich, a mianowicie Bralewic własności p. Leona Prądzyńskiego, wioski położonej w sąsiedztwie borów Tucholskich. Grudziądzki „*Gesellige*“ cieszy się, że niedługo większa własność polska w tych stronach zniknie zupełnie, do dziś dnia n. p. w pow. chojnickim na 29 większych majątków, 7 jest tylko w polskich rękach; ogółem zaś więksi właściciele polscy w całych Prusach zachodnich z pewnością nie posiadają więcej już ziemi, jak 70—75.000 hkt., czyli nieledwie taki sam obszar, jaki dotychczas zakupiła komisya kolonizacyjna w obu prowincyach polskich. Według ostatnich zamknięć tej instytucyi, dowiadujemy się, że pod koniec roku 1893. zakupiła ona ogółem 65.617 hektarów, prawie za 40 milionów marek, z czego na 24.000 hektarów osadzono ogółem dotąd 1.416 kolonistów. Zważywszy, ile to trudów i mozołów kosztowało ks. Bismarcka stworzenie tego pomnikowego dzieła swoich rządów, ile pieniędzy i pracy ludzkiej włożono na udoskonalenie jego przez 7 lat, to wobec tego sam rezultat kolonizacyjny, redukujący się do osadzenia $1^1/_2$ tysiąca Niemców, z których i tak przeważna część pochodzi z tych samych prowincyi, bynajmniej nie przedstawia się w różowem świetle dla molocha, pragnącego połknąć 3 miliony narodu rozmnażającego się tak szybko. Wobec tego musimy każdej matce polskiej przyznać lepszą znajomość polityki od tej, jaką pro-

wadzi państwo pruskie, wszeteczące równouprawnieniem i sprawiedliwością.

Tymczasem do walki z potężnem państwem, z funduszem stumilionowym wystąpił wdowi grosz narodu polskiego, złożony w Banku ratunkowym. Kapitał akcyjny Banku w dwóch emisyach doszedł zaledwie do 1,200.000 marek, a przecież po kilku latach zdołano już osadzić 728 osadników przeszło na 8.000 hektarów sprzedanych blizko za 5 milionów marek. Energiczny dyrektor Banku naszego, Dr. Kalkstein, śmiało mógłby kulturträgerów z komisyi kolonizacyjnej przyjąć na praktykę do polskiej instytucyi, aby się poduczyli i poznali lepiej ową *„polnische Wirtschaft“*.

Ze Szląska doszła do nas temi dniami pocieszająca wiadomość, świadcząca, że ruch narodowy w tej dzielnicy nie ustaje, ale posuwa się coraz energiczniej i obejmuje coraz to dalsze okręgi. W powiecie prudnickim złożył mandat poselski dotychczasowy poseł ks. Cytrynowski, należący do stronnictwa centrum. Właśnie odbyły się uzupełniające wybory; katolicy niemieccy postawili swojego kandydata w osobie właściciela dóbr p. Delocha, Polacy zaś wysunęli po raz pierwszy narodowego kandydata gospodarza Strzodę. Za polskim kandydatem nie rozwinięto nawet głośnej agitacyi, chcąc uniknąć prześladowań w rodzaju tych, jakie towarzyszyły wyborowi w pow. raciborskim. Pomimo to kandydat polski otrzymał 3.419 głosów, a niemiecki 3.896, zaś 800 głosów padło rozstrzelonych głównie na socialistę. Skutkiem tego d. 25 bm. mają się odbyć ściślejsze wybory między naszym a niemieckim kandydatem; chociaż przypuszczamy, że ten ostatni zwycięży, to przecież już sam stosunek głosów polskich oddanych w takich wyrunkach, jest dobrym zadatkiem na przyszłość, musimy bowiem i to wziąć na uwagę, że powiat prudnicki bynajmniej nie należy na górnym Szląsku do powiatów najsilniej zamieszkałych przez ludność polską, liczebnie obie narodowości, prawie że się tu równoważą. Według spisu ostatniego Polacy dochodziliby tutaj do 46.000 mieszkańców a Niemcy do 50.000, czyli, że ludność polska przy ostatnich wyborach z małymi wyjątkami pomimo presyi różnych sfer, głośno i otwarcie przyznała się do swojej odrębnej narodowości. Zdobycie 14 do 15 okręgów na górnym Szląsku jest wobec tego kwestyą czasu tylko — a tryumf taki wyłącznie przypisać musielibyśmy cichej polityce ludu szląskiego, której przodownicy nie zjadają smacznych obiadów na jachtach pruskich, ale jak obecnie redaktor *Nowin Raciborskich* p. Maćkowski z kotła więziennego.

Orlica.



Polska w Prusiech Wschodnich

Treść: Granice żywiołu polskiego. Warmia polska (szczepu wielkopolskiego). Większa ospałość i upośledzenie plemienia litewskiego i polskiego szczepu Mazurów; postępy niemczyzny. Piękność Mazowsza. Przeszłość; naciągane hipotezy niemieckie. Teraźniejszy stan. Zniknięcie większych właścicieli i inteligencyi polskiej (Horn). Partykularyzm mazurski. Ogłoszenie orędzia cesarskiego po polsku. Lud. Wyznanie luterskie byłych katolików. Zaniedbanie ludu, bałamucenie go, wybory, »gbury« mazurskie. Język literatura i czasopiśmiennictwo.

W pruskiej prowincyi Wschodniej, dawniej Prusiech książęcych, żywioł polski zamieszkuje 10 powiatów południowych rejencyi królewieckiej i gąbińskiej, (Gumbinnen). Nie bardzo się pomyli, kto granicę jego zakreśli linią przeprowadzoną od Morąg (Mohrungen) w sąsiedztwie Prus zachodnich do Gołdapii w sąsiedztwie północnej części Królestwa polskiego, zwanej Augustowskie. Jestto linia przeciągnięta w pośrodku mniej więcej między morzem a północną granicą Kongresówki; ta granica bieży od zachodu do wschodu, dopóki się nie wygnie na północ ku Gołdapii i Augustowu. Im, idąc z Królestwa Polskiego ku morzu, bliżej się tej linii dochodzi, tem słabiej i rzadziej rozbrzmiewa mowa polska, aż po za tą linią całkiem znika, ustępując bardzo przeważnie niemieckiej a po części też i litewskiej we wschodnich powiatach.

W tych granicach zamknięta ludność polska dzieli się etnograficznie na dwie części: na plemię wielkopolskie i na szczep mazowiecki. Pierwsze jest przeważnie wyznania katolickiego, tworzy południową część tak zwanej Warmii (Ermeland); ziemia ta leży w zachodniej części prowincyi i na wschód i południe, oraz na południowym zachodzie sąsiaduje z Mazurami. Warmia była siedzibą wiel-

kich mężów polskich: Kopernika we Frauenburgu nad morzem, który tam zrobił swoje wiekopomne odkrycie i (tę chwilę błysku jego geniuszu oddał mistrz Matejko na obrazie będącym ozdobą collegium novum w Krakowie), Hosyusza i Krasickiego, biskupów polskich, którzy rezydencyę mieli w Heisbergu. Warmia, mająca postać trójkąta, jest obecnie zupełnie niemiecką w najwęższej tegoż podstawie, w północnej części, t. j. w okolicach Kranzberga, Heilsberga i Frauenburga. Część trójkąta południowa, wbijająca się nieco w Mazowsze protestanckie swym końcem południowym, jest przeważnie polska. Warmiacy polscy są mniej zaniedbani i ignorowani przez resztę Polski, niż Mazurzy. Przynajmniej w ostatnich czasach duchowieństwo katolickie odznacza się niemałą gorliwością, czego nie można o luterańskiem na Mazurach powiedzieć. Zdaje się, że w pewnej mierze skutkiem tego plemię to wielkopolskie, pouczone więcej w naukach moralnych i więcej oświecone, okazuje się dzielniejszem w walce o byt i między innemi tego objawami jest fakt, że wykupuje ziemię od Mazurów i rozszerza się ich kosztem coraz więcej z każdym rokiem.

Od kilku lat wychodzi »Gazeta Olsztyńska« w Olsztynie. Świadomość narodowa polska objawiła się na Warmii już dość żywo. Przy ostatnich wyborach do parlamentu niemieckiego przeszedł ks. Wollszlegier.

Na Mazurach i Litwie pruskiej (ostatnia rozciąga się na wschód od zatoki Kurońskiej, a na północ od mazowsza pruskiego) język niemiecki robi postępy; szkoły i wojskowość najwięcej lud niemczą, przyzwyczajając do niemieckiego języka, a odprowadzając od polskiego i litewskiego. Są to przeważnie jeszcze jakby sami niemcy po polsku i litewsku mówiący; język rodzinny nie znajduje wiele siły odpornej dla germanizmu w usposobieniu ich wewnętrznem. Dopiero w ostatnich czasach gwałtowne niemczenie w szkołach wywołuje niegłośną, lecz może niemniej żywą reakcyę, a z nią niechęć i skargi. Niejeden szlachetnie myślący niemiec staje się przeciwnym zadawaniu gwałtu naturze n. p. superintendent Schrage (Pastor z Ostrokoła Mazurskiego) obrany przed laty referentem zboru Szyłokarczemno - Kłajpedzkiego (Heydedrug Memel), na synodzie generalnym prowincyi wschodnio - pruskiej wniósł, aby nietylko religia, lecz wszystkie przedmioty były wykładane w szkołach na Litwie po litewsku, a na Mazurach po polsku. Superintendent Rudnik i prezydent naczelny prowincyi Horn, (dawniejszy naczelny prezes W. ks. Poznańskiego) — dowodzeniem, że wszystko winno zdążać do jaknajszybszego zniemczenia tych krajów, utopili wniosek, tak wyjątkowym tchnący duchem pomiędzy Prusakami.

To też nic dziwnego, że przy podobnym systemie rządowem, przy gorliwości urzędników większej, niż tego sam rząd wymaga, mowa niemiecka szerzy się w Prusiech wschodnich, z uszczerbkiem polskiej i litewskiej. Powiat Darkiański (Darkehmen), zawierający dawniej w południowej części wiele osad, gdzie tylko po polsku mówiono, posiada dziś ledwie szczątki ludności polskiej, powiat Węgoborski (Angerburg), dawniej przeważnie polski, teraz do połowy zniemczał, Rastenborski, poprzednio do połowy polski, teraz przeważnie niemiecki; Gołdapski, dawniej w znacznej części polskiej mowy używający, posiada obecnie zaledwie kilka parafii, gdzie tylko małą częścią po polsku (na południu) — częścią po litewsku (na północy) mówią.

W tym właśnie punkcie zbiegają się granice trzech języków—co widoczne jest do tego stopnia, że w niektórych istnie trójjęzycznych parafiach, duchowni zmuszeni są miewać kazania po niemiecku, polsku i litewsku.

Mazury zamieszkują południową i południowo - wschodnią część dawnych Prus książęcych, obecnie wschodnio - pruskiej prowincyi. Kraj ich jest pokryty wielkiemi jeziorami i sporemi pagórkami; przedstawia, nawet dla turysty o smaku zaprawionym na wspaniałych widokach okolic alpejskich i karpackich, nowy całkiem powab. Świadczą o tem felietony niemieckiej gazety Królewieckiej, z prawdziwem uniesieniem opisujące piękności mazurskiej krainy. Dość też spojrzeć na mapę i przekonać się o li-

cznych kraj przerzynających wodach i wzniosłościach pomiędzy niemi, aby uwierzyć w prawdopodobieństwo powabnych opisów. Z Węgoborka (Angerburg) aż do Jansborga (Johannisburg) można parostatkiem przejechać przestrzeń kilkunastumilową uroczemi wybrzeżami wielkich jezior. Przesłaniem zaś rysunku pięknego jakiego widoku do ilustrowanych pism naszych, możnaby urozmaicić ich dział obrazków z natury i przypomnieć istnienie Mazowsza pruskiego naszemu ogółowi polskiemu. W dobrze zrozumianym interesie pism ilustrowanych byłoby nawet wysłanie zdolnych rysowników własnym kosztem na niedaleką podróż kilkotygodniową po Mazurach. Koszt nie byłby tak znaczny i wróciłby się pewnie z procentem moralnym i materyalnym. Uczyniłby to był już dawno na naszem miejscu naród, więcej się zajmujący sprawą ludową, niż my, n. p. Czesi.

Ludowa geografia dzieli Mazury na trzy części: na t. z. piaszczyste pod Szczytnem (Ortelsburg), na kamieniste i na garbate t. j. pagórkowate pod Gołdapią. Powiat lecki zaś przezwany jest Szwajcaryą mazurską. Rzut oka na mapę przekona, że nazwy te są słuszne o tyle, że wszędzie na Mazurach są piaski, kamienie i góry i że żadna część kraju mniej, niż inna nie zasługują na nazwę małej Szwajcaryi: niektóre wyniosłości mają przeszło 1000 stóp, a wszystkie niemal pokryte są lasami to liściowemi, to szpilkowemi, uroczo odbijającemi się od źwierciadeł wspaniałych wód. Prześliczny jest zwłaszcza widok niedaleko Orłowa na jezioro łękuckie, okolone pagórkami, na których porosły, jakby w przepyszne parki angielskie, jodły, świerki i brzozy. Nieopodal leży wieś Łaźno (Haschen) wśród lasów i jezior, uważana niesłusznie za najpiękniejszą; albowiem równie pięknych okolic jest dosyć dużo i tak m. i. okolica Ełku (Lyck) miasta, najznaczniejszego na Mazurach i zwanego ich stolicą: malowniczo leży ełckie zamczysko w samym środku jeziora. Spamięta go każdy, kto tylko raz piękny ten obraz miał przed sobą.

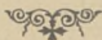
Jaka jest przeszłość tych krain? Zkąd tam się wzięli Niemcy i Polacy? Znakomity dziejopis niemiecki Hartknoch z Prus królewskich, który za Jana III. Sobieskiego skreślił w zajmujący i wyczerpujący sposób dzieje prawa, obyczaje i zwyczaje ludów zamieszkujących ówczesne Prusy Królewskie i książęce, nazywa ziemie mazurskie Galindyą i Sudawią, czyli ziemią gołędzką i sudawską. Już wówczas w jego umyśle sporną było rzeczą, kto byli najpierwotniejsi mieszkańcy tej ziemi. Nie bez pewnego wahania twierdzi on, że najprawdopodobniej przed Polakami zamieszkałą ona była przez właściwych Sudawian i Galindyan szczepu litewsko-pruskiego. Szczepy te miały być bitne i nieugięte i nie poddały się Krzyżakom; z tego powodu zostały przez zakon krzyżowy po części wytępione, po części przesiedlone na północ od Królewca do Sambii. Taki był ówczesny sposób podbijania pogan, a raczej tak się obchodzono z tymi, których podbito. Ponieważ Polacy nigdy nie uchodzili w oczach Krzyżaków za naród podbity, przeto niby Zakon nigdy w ten sposób ich nie traktował. Z tego trochę wątpliwego faktu naciąga się dowód, że to nie byli Polacy. Wedle Hartknocha, wyludnione wojną kraje miały być przez sąsiednią ludność z Mazowsza sztucznie skolonizowane i kolonizacyi tej puszcz gołędzkiej i sudawskiej mieli Krzyżacy sprzyjać. Wielka tam była obfitość miodu i zwierzyny po lasach, a ryb w jeziorach. Za małą opłatą Zakon pozwalał mazowieckim bartnikom myśliwym i rybakom chodzić za zarobkiem; z czasem uznano, że w interesie Zakonu jest skolonizować te puszcze i uskuteczniono to bez najmniejszego względu na narodowość. Nic dziwnego więc, że sąsiedztwo Mazowsza zaludnione zostało przez Mazurów. Zagadką tylko jest, jakim niebywałym w dziejach sposobem śladu nie zostało po tych Prusakach i Litwinach nawet w nazwach miejscowości. Istnienie Słowian nadłabskich, niemniej bezwzględnie tępionych, widnieje z nazw miejscowości w Oldenburgu i pod Hamburgiem. Szczególną rzeczą jest taki zanik doszczętny szczepu pruskiego na obecnem Mazowszu. W najnowszych czasach powstał też spór o to, kto byli po Litwinach i Prusakach

starożytnych pierwsi mieszkańcy tych ziem, Polacy, czy Niemcy. Uczeni niemieccy, szczególnie prof. uniwersytetu królewieckiego Schubert, a za nim opinia ogólna dotąd w Niemczech, nie zadowolnili się powyższem naciąganiem historyi, że najpierwotniejsi mieszkańcy nie byli Polakami. Wymyślili oni coś jeszcze mniej prawdopodobnego. Twierdzą oni bowiem, że na Mazurach przed Polakami byli Niemcy, których dopiero wyrugowano po napadzie Polaków i Tatarów 1656 r. pod wodzą ks. Lubomirskiego. W dziełach niemieckich i w publicystyce w przesadny sposób się głosi, że pamięć o tym strasznym najezdzie żyje dotąd w ludzie. Korespondenci niemieccy z nad granicy Augustowskiego, opisując wojsko rosyjskie nagromadzone teraz w większej ilości, wzmiankują, że widok onego przywodzi na pamięć mieszkańcom ów napad tatarsko-polski. Uczeni niemieccy na seryo wyprowadzają stąd wywód historyczny, że wtedy kraj został spustoszony do szczętu i polska ludność rozszerzyła się kosztem niemieckiej.

Niektóre jednak powagi historyczne, nawet niemieckie, mniemają, że okolice te zawsze od historycznych czasów były przez polską ludność zamieszkałe. Przeto najtrafniej pewnie będzie zgodzić się na to, co pisał Dominik Szulc w dziele »O znaczeniu Prus dawnych« w latach czterdziestych, twierdząc po prostu, że ziemie te odwiecznie były zamieszkałe przez ludność mazowiecką.

S. Oksza.

(Dokończenie nastąpi).



SPRAWA KOBIECA.

Szkoły gospodarstwa domowego dla kobiet.

I.

Sprawa wykształcenia kobiet w każdem państwie należy do bardzo ważnych, u nas — do wyjątkowo ważnych. Zanim pismo nasze rozpatrzy ją wszechstronnie, pozwalam sobie zwrócić uwagę czytelników na jeden punkt tylko tej sprawy — na wykształcenie profesyonalne, fachowe, i to w jednym kierunku.

W ostatnich kilkunastu latach objawił się niezwykły ruch na polu tak zwanej *kwestyi kobiecej*. U nas walka o prawa kobiety jako obywatelki i jednostki społecznej zeszła na drugi plan, a właściwie niewysuwała się nigdy na pierwszy, skutkiem po prostu nienormalnych warunków życia politycznego. Nie można było mówić na seryo o prawach połowy naszego społeczeństwa, tam gdzie naród cały był wszelkich praw politycznych pozbawiony. Skutkiem tej anormalności kwestya kobieca — poza obrębem praw cywilnych i politycznych — wybujała w jednym kierunku: w pewnej warstwie kobiet obudziło się gorączkowe pragnienie wiedzy, tak że upatrywano rozwiązanie kwestyi kobiecej w wyższem wykształceniu uniwersyteckiem. Mnóstwo kobiet rzuciło się na to pole, zdobywając wysokie stanowiska naukowe w społeczeństwie kosztem bohaterskich wysiłków i poświęcenia. Ale ruch w powyżej zaznaczonym kierunku był jednostronnym, miał charakter usiłowań jednostkowych, nie zawsze jasno sformułowanych, a rezultaty zdobyte nic prawie dla sprawy kobiecej nie przynosiły — oprócz notowania nazwisk laureatek w Kuryerkach, bo dziewięćdziesiąt procent tych laureatek, jeżeli nie miały materyalnego oparcia w rodzinie, marnowały swoje siły lub głodem przymierały. Był to rezultat do przewidzenia w obec tego, że kobieta nie posiadała praw żadnych.

Ludzie rozważni przewidywali smutne następstwo, ale potężniejszy jest prąd wieku i siła woli indywidualna od rozwagi. Nad smutnem zakończeniem najszlachetniejszych usiłowań można było ubolewać, ale byłoby rzeczą nienaturalną powstrzymywać prądy i dążenia umysłowe ludzkości.

Nie należy jednak zapominać że wiedza w najszerszem tego słowa znaczeniu będzie zawsze udziałem nader nielicznych kół, a tam wszędzie i w takich warunkach, gdzie ona nie będzie mogła być zużytkowaną dla pożytku własnego społeczeństwa, — poza granicami rodziny — stać się musi albo sybarytyzmem umysłowym albo poświęceniem. Na tej dro-

dze przeto kwestya kobieca nie zostanie ani rozwiązaną ani nawet posuniętą naprzód, już dla tego samego, że obejmuje nader szczupły zakres pracy i grono wyjątkowych jednostek. Miljony kobiet jak były tak i są niewolnicami prawa, rodziny, obyczaju -- dlaczego? Dla tego jedynie i przedewszystkiem że one i są nie posiadają *niezależności ekonomicznej*, umożebniającej i ułatwiającej życie samodzielne, rozszerzającej zakres zarobkowania.

U nas, trzeba przyznać, na tę stronę niezmiernie mało zwracają uwagi, zarówno ci, którym kwestya kobieca leży na sercu jak i państwo. Śmiem utrzymywać że cały kierunek dotychczasowego wykształcenia kobiet jest wysoce jednostronny i bezwiednie dla kobiet szkodliwy, gdyż wszystkie pensyonaty i szkoły publiczne dążą do nadania wykształceniu charakteru jak najbardziej *encyklopedycznego*, a fachowość ogranicza się w znacznej mierze do kształcenia nauczycielek w tym samym kierunku.

Bezpośredniem następstwem takiego stanu rzeczy jest to, że panny czy kobiety, tak zwane wykształcone, posiadają dużo powierzchownych wiadomości z różnych nauk, wiele łożą czasu i trudu na uczenie się języka francuskiego — i ostatecznie do czego to służy? córka rodziców zamożnych opiera swoją przyszłość na zamożności rodziców lub męża, córki mieszczan, kupców, urzędników, mniejszych lub większych właścicieli ziemskich mają do wyboru: nauczycielstwo, męża i niewiele co więcej. Kierunek kształcenia, który — na ogół biorąc, po długich latach poświęceń i wysiłków przynosi okruszyny pożytku i zadowolenia, nie może być odpowiednim dla połowy rodzaju ludzkiego. Niechcę przez to powiedzieć, że nauka kobiecie niepotrzebna, że dotychczasowy kierunek encyklopedyczny funta kłaków nie wart; nie namawiam bynajmniej nikogo do idylicznej kądzieli, ale pragnąłbym ażeby wykształcenie kobiet bardziej specyalizowało się, bardziej odpowiadało podziałowi pracy w każdem społeczeństwie, gdyż tylko w takich warunkach kobieta zdobyć może więcej niezależności ekonomicznej i więcej pożytku własnemu społeczeństwu przynieść.

Niech więc ta cząstka kobiet, którym położenie towarzyskie i materyalne pozwala na naukę w formie zbytku, zdobywa wszystkie sekreta podbijania serc ludzkich — w salonie, ale po co się tej sztuki ma uczyć córka kupca, która może kiedyś stanie na czele interesu? — Dla niej daleko potrzebniejszą jest znajomość rachunkowości podwójnej. Dla czego córki właściciela małej posiadłości ziemskiej, księży unickich, urzędników, etc. mają tak zwaną edukacyę kończyć na literaturze francuskiej lub modnej psychologii? Niech one tego wszystkiego uczą się, ale niech nie uczą się tylko tego.

Po ukończeniu szkół i pensyonatów o zakresie encyklopedycznym, większa część uczennic wraca do sfery, z której wyszła, lecz która skutkiem wykształcenia stało się dla niej obcą, a często ciężką, bo o innej atmosferze umysłowej.

Większość staje ze swoją sferą w rozdźwięku. Nauka szkolna nie wskazała im żadnego praktycznego celu, a w obec niemożności zużytkowania odrobiny zdobytej wiedzy, budzi się niezadowolenie z powodu braku jasno wytkniętego obowiązku. Rozumne kobiety bardzo prędko przychodzą do przeświadczenia że, jakkolwiek uczyły się dużo, wielu rzeczy nie znają zupełnie, w domu nie są przydatne do niczego. Jedne więc maltretują swoje otoczenie, jako nieuznane wyższe jednostki, zamęczając innych tak zwanemi »talentami« t. j. muzyką, spiewem, malowaniem; drugie — pozostawiwszy talent na stronie, — biorą się do pracy pożytecznej.

Takie rezultaty przynosi jednostronność w kształceniu.

Jak rozszerzyć zakres pożytecznej nauki, którąby pozwoliła kobietom na wszechstronniejsze zużytkowanie sił swoich w walce o niezależność materyalną, o większy dobrobyt własny i własnej rodziny — nie będę się w tej chwili nad tem zastanawiał. Wrócę tylko do tego punktu, na który powołałem się na wstępie.

Mam tu na myśli szkoły gospodarstwa domowego dla kobiet — bądź jako odrębną całość, obejmującą w sobie cały cykl potrzebnych w tym kierunku wiadomości, bądź też jako kursa dopełniające dla

uczennic średnich zakładów naukowych żeńskich.

Dowodzić potrzeby istnienia takich szkół, byłoby to wszystko jedno co dowodzić potrzeby wody lub światła do życia. Chodzi o to, ażeby szkoły takie istniały i dawały możność fachowego wykształcenia. Mają one szczególnie doniosłe znaczenie dla tej sfery kobiet, która z konieczności zmuszoną jest życie całe pędzić po za miastem. Nauka gospodarstwa domowego, obejmująca ogrodownictwo, sadownictwo, mleczarstwo, hodowlę drobiu, bydła, tuczenie etc. przydać się może nie tylko dla córek właścicieli średniej i małej własności, które ze swojej sfery rzadko wychodzą, lecz także dla córek właścicieli ziemskich większej posiadłości. Ogólne wykształcenie nie przeszkadza w niczem wykształceniu fachowemu, przeciwnie im bardziej te dwa kierunki łączą się ze sobą w pewnych warstwach, tem lepiej. Większość ojców, dzięki widać nie ugruntowanemu pojęciu, że kobiecie tylko encyklopedyczne wykształcenie, potrzebne w towarzystwie, przydać się może, mimowolnie wyrządza krzywdę córkom, podkopuje podstawę własnego bytu materyalnego i bytu córek, które wychowane na bawidełka salonowe z gustem umieją marnować cudzą pracą zdobyte mienie a lekceważą pracę domową jako prostaczą.

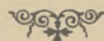
Tak więc jedna część kobiet — bardzo tak zwanych wykształconych — nie przynosi nic do skarbca pracy i majątku narodowego, bo świat w którym się wychowały i życie stoją u nich na dwóch przeciwległych biegunach; druga część kobiet pragnęłaby poświęcić swoje siły pracy domowej, lecz brak jej wiadomości fachowych.

Czyja w tem wina, że się własnemu społeczeństwu krzywdę wyrządza, że się kobietom zmniejsza źródła zarobkowe lub uniemożebnia się pracę na własnej ziemi? Nasza, tylko nasza. Cała uwaga skierowana jest przeważnie na męskie szkoły, jak gdyby rodzaj ludzki z mężczyzn się jedynie składał. O ile wiem istnieje w Galicyi jedna tylko szkoła z zakresu tych o jakich mówię — w Zakopanem, a one istnieć powinny w każdym zakątku, ażeby przystęp do nich był łatwy i tani.

Dziś zdarza się nieraz, że córki bogatych włościan kończą szkoły średnie lub pensye — i jakież tego następstwa? One odzwyczajają się od swojej sfery, pracy, uważają się za coś lepszego od innych; marzą o świecie urzędniczym jak — o ideale, a ileżby one odniosły pożytku gdyby się uczyły trochę gospodarstwa rolnego i domowego? Synom naszym dajemy wykształcenie specyalne, kobietom encyklopedyczne. Skutkiem tego dziać się musi w życiu tak, że mężowie i ojcowie dążą do umiejętnego wyszukiwania źródeł dochodowych, a żony i córki, nie z własnej winy lecz z braku wiadomości, rozpraszają zdobyte ciężkim trudem mienie.

Tak więc po za wykształceniem encyklopedycznem należy koniecznie szerzyć wiedzę fachową. Szkoły gospodarstwa domowego istnieją w różnych państwach. Warto może organizacyę tych szkół poznać i typy takie u nas w życie wprowadzić. Otóż tej organizacyi poświęcimy słówko w następnym artykule.

Fr. G.



POWIEŚĆ i POEZYA.

NIEOBECNI.

OPOWIADANIE

T. T. JEŻA.

Głównie wszakże intrygowała ludzi wielka skłonność do miłosierdzia w młodym spadkobiercy znakomitego imienia i olbrzymiej fortuny, skłonność, która objawiała się odrazu w sposób zagadkowy: nie w czynach, ale w intencyi. Zaniepokoiło to nieco sfery interesowane.

— Intencya?... hm?... W którą ona zwróci się stronę?... A nuż... Kto wie...

Domyślniki ostatnie miały na widoku zasady przewrotne. »A nuż« młody umysł pochyli się w stronę, w którą wionie duch czasu i obróci się w nią, jak chorągiewka na dachu. »Kto wie«, ażali rezultatu tego nie sprowadzą okropności, jakie mu odkrył ojciec, w ciągu tych dwóch ostatnich lat życia, które z nim spędził.

Niepokojącem to było. Zagadka i tajemnica. Zagadka odnosiła się do intencyi. Tajemnica okrywała stosunek ojca do syna w ciągu owych dwóch lat rzekomej skruchy i domniemanego żalu za grzechy, które nie istniały wcale. Istniały nie skrucha i żal za grzechy, ale fantazya. Starzec, czując zbliżający się kres żywota, przywołał syna i kazał mu nie odstępować siebie, a to dlatego, ażeby, gdy powieki zamknie, ruchomości jego, kosztowności, pieniędzy i papierów nie rozkradli słudzy. Takim był jedyny powód trzymania przy sobie syna. Syn znajdował się przy nim nieodstępnie, a przytem, na zawołanie każde byli lekarz i spowiednik. Gdy chory hrabia, którego astma trapiła, doznawał duszności większej niż zwykle, wnet lekarz nadbiegał — opatrywał, osłuchiwał, środek odpowiedni przepisywał i odchodził. Powtarzało się to często, aż uczeń Eskulapa oświadczył, że koniec się zbliża. Wówczas zjawił się spowiednik i przygotował starca na drogę wieczności, w którą on udał się ze spokojem sumienia całkowicie oczyszczonego. Umierał przykładnie w tem przeświadczeniu, że jest wielbłądem, który przecisnął się przez uszko od igły i wchodzi do królestwa niebieskiego. Grzechy swoje wszystkie pozostawił na tym płaczu i zgrzytania zębów padole, na barkach tych, których pokrzywdził. Prawda, że nie on płakał i nie on zębami zgrzytał. On grzeszył tylko, ale ostrożnie, zabezpieczywszy się z góry przeciwko smutnym grzechów następstwom. Umarł przykładnie, z gromnicą w ręku, w obecności szepczącego za duszę jego modlitwy kapłana, w obecności ocierającego łzy syna, któremu błogosławieństwo rodzicielskie udzielił i którego zapewnił, że czuwać nad nim będzie u stóp tronu przedwiecznego.

Przez tych przeto dwa lata młody człowiek przenudził się straszliwie; jedyna bowiem rozrywka, jaką miał, polegała na porządkowaniu papierów. Porządkował papiery ojcowskie i zaglądał do nich. Bawił się w archiwistę; miał do czynienia dużo, albowiem zbiory sięgały początkiem swoim roku tysiąc ośmset dwudziestego któregoś. Składały się one z kopii i oryginałów, z aktów odnoszących się do układów i procesów różnych i z korespondencyi. Odczytywanie wszystkiego tego niepodobieństwem było, tembardziej, że na przeszkodzie stał obcy młodemu człowiekowi język, który stanowił język większej rękopisów części. Był to język polski. Hrabia Artiur przeto układał jeno wedle dat, kiedy niekiedy tylko odwołując się do ojca o skazówki, albo informacye. Stary hrabia okiem rzucał, czasami przez chwilkę uwagę zatrzymywał i zazwyczaj odpowiadał w sposób następujący:

— *Ah... làlà... C'est une réclamation..*

Odpowiedź podobna miała się do zapytań, jak dziesięć do jednego, tak że stosunek ów, w jakim się znajdowały reklamacye do korespondencyj innego rodzaju, nie mógł nie zafrasować młodego człowieka.

— Reklamacya i reklamacya... Co to znaczy?...

Zapytał raz ojca, ten atoli za odpowiedź ręką z lekka odmuchnął i usta zacisnąwszy a brwi ściągnąwszy, wykonał głową gest, oznaczający pogardliwość najwyższą.

Młody człowiek nie zapytywał już więcej o znaczenie, pomimo że zaciekawił się w wysokim stopniu. Zmuszonym atoli będąc zapytywać o skazówki, baczniejszą zwracał uwagę na wrażenie, jakie korespondencye niektóre na starca wywierały.

Wrażenie objawiało się zawsze prawie jednakowo co do swej istoty, a różniło się jeno we względzie stopnia, występując raz silniej, znów słabiej. Pod względem siły wszelako nie przekraczało nigdy stopnia uśmiechu złośliwego, który się przez wąskie starca usta przesuwał niby od niechcenia. Raz jeden tylko, na widok jakiegoś, starannie napisanego listu, stary hrabia zmarszczył się, spojrzenie jego dziko strzeliło, papier mu w ręku zadrżał — list na stół cisnął.

— Co to?... — zapytał syn.

Ojciec nic nie odpowiedział; policzki mu drgały.

Młodzieniec zapytał powtórnie:

— A... to... to... począł, zajękując się nieco — to, od Siekierskiego... Siekierski... — powtórzył sam do siebie w zamyśleniu.

— Reklamacya? — zapytał młodzieniec.

— Re-kla-ma-cya... — odpowiedział.

— Siekierski?...

— Sie-kier-ski... — odrzekł, nosem czmychnął i głowę zwiesił.

Nazwisko to, jedyne, jakie ojciec przy porządkowaniu papierów wymówił, młody hrabia w pamięci sobie zanotował, — albo raczej, zanotowało się mu ono samo.

— Siekierski?... hm?... — powiedział sobie w duchu.

I układał papiery dalej w tem przeświadczeniu, że w nich zawierać się muszą rzeczy ciekawe. Przeświadczenie to powziął nie z jednego tylko listu Siekierskiego. Zaczerpnął je z korespondencyi francuskiej, prowadzonej przez nieboszczyka z braćmi i siostrami, z krewnymi bliższymi i dalszymi, z koligatami, z członkami arystokracyi wszystkich narodów, z interesentami rozmaitymi, a także i z aktorkami, ze śpiewaczkami, z tancerkami, z jakąś, podpisującą się Zoa, z inną, której pisownia do życzenia bardzo pozostawiała wiele, a podpis wyczytywać się nie dawał, a jeszcze innemi, które się nie podpisywały, etc., etc., etc. Awantur, dramatów, romansów w plikach tych spoczywało sporo. Zaciekawiało to młodzieńca, w klasztorze wychowanego. Zamierzał zbadać materyały dokładniej i byłby zamiar ten do skutku doprowadził, gdyby nie śmierć ojca, która go wyemancypowała całkowicie.

Musiał z Paryża do dóbr swoich wyjechać. Zwaliły się na barki jego interesy i kłopoty wielkie, które byłyby jeszcze większe, gdyby nie ta okoliczność, że po polsku nie umiał. To ratowało go od gadaniny w sprawach, które urządzał. On urządzał; gadał kto inny — zastępowała go gęba płatna i ta wszystko załatwiała w sposób taki, że młodemu panu pozostawało tylko ożenić się i rezydencyę sobie wybrać.

Ożenił się i na rezydencyę wybrał Paryż.

Kolej żelazna zabrała go z Krakowa, wiozła na Wiedeń i zawiozła do Paryża.

Było ich dwoje.

Ach! — powiedzieć o tem zapomniałem, a raczej — powiedzieć nie zapomniałem, alem hrabinę młodą zostawił tak w cieniu, że wydawać się komu może, iż ona gasła wobec młodego hrabiego. Tak źle nie było; nie było jednak tak dobrze, jak publiczności czytającej przedstawiło ją pewne pióro profesorskie, czyniąc z niej niewiastę najpiękniejszą i najcnotliwszą na kuli ziemskiej. Włosy krucze, ramiona alabastrowe, kształty wytoczone, wejrzenie powłoczyste, niebiański oblicza wyraz, coś rusałczanego w przegibach postaci i coś zarazem znamionującego damę wielkiego świata, przed którą się kolana rycerskie uginały same: wszystko to bezwarunkowo przyznało jej pióro profesorskie. Co do mnie, nie podpisałbym się na przyznaniu tem, a przynajmniej, nie podpisałbym się bez zastrzeżenia, brzmiącego jak następuje: »Tak się tobie wydaje, światły profesorze, ale tak nie jest. O tej damie, gdyby nie była hrabianką z domu, hrabiną za mężem i tak bardzo bogatą, albo byś nie pisał wcale, albo pisał zgoła inaczej. Nie widziałbyś w niej ani tej niebiańskości, ani rusałczaności, ani znamion wielkoświatowości«. Tego wszystkiego w niej nie było. Ziemianka zwyczajna, nie brzydka, szykowna, trochę za mocno ubarwiona, trochę za mało szczupła, trochę za bardzo oryentalna, ale bogata, bogata. To ostatnie wynagradzało sowicie w oczach takich potęg naukowych, jaką jest rzeczony profesor, braki wszelkie, jakimi ją natura obdarzyła. Piękną była — tak — i na podstawie tejże samej była cnotliwą, lubo, pod tym względem, nie złożyła dowodów innych, jak rękami panien służących haftowane a przez nią ofiarowane przedmioty różne pewnemu księdzu młodemu, który się pomadował, perfumował, bieliznę codziennie zmieniał, brodę codziennie golił i z gracyą szczególną sutannę na sobie nosił. Ofiary te atoli tyczyły się nie osoby jego, ale tej osoby pośrednictwa. Przez ręce szarmanckiego księdza przechodziły komże, komeszki, obruski, serwetki, przykrycia różne i inne rzeczy, zapisywane w garderobie kościelnej, jako wyroby hrabianki Izy własnoręczne. Wyraz ostatni nie zgadzał się z istotą rzeczy, ale zachodzi pytanie: kto był wyrazu tego autorem — hrabianka, czyli też ksiądz szarmancki? Pomiędzy niemi dwojgiem siekierka utonęła. Ktoś

*

z nich dwojga popełnił to, co w mowie potocznej nazywa się kłamstwem z intencyą — z tą intencyą, na podstawie której profesor, o którym wyżej, poświadczył na chwilę obecną i poręczył na przyszłość wzorową hrabiny młodej cnotliwość. Co do nas, skłonni jesteśmy nie wierzyć, ani poświadczeniu, ani poręczeniu. Nam dowodów potrzeba, dowodów faktycznych, które jaśniały nieobecnością. Przypuszczamy jednak cnotliwość, jako rzecz możliwą w takich nawet razach, gdy robótki, zapisane »własnoręczne«, robią się niewłasnoręcznie. Wina zresztą spadała może na pośrednika w uczynkach pobożnych, na księdza młodego, który nosił sutannę z takim szykiem, że wyglądał na kawalera, wzbudzającego w damach rojenia dziwne i pragnienia tajemne. Nieobwiniamy przeto hrabiny młodej i nie kartujemy nic na niekorzyść jej. Nic na korzyść i nic na niekorzyść. Była to karta biała pod postacią mężatki dwudziesto paro letniej i na karcie tej filut profesor napisał to, co niby jest, w tej zapewne intencyi, ażeby zapisek jego stał się rzeczywistością. O filut! Napisał — czytaj: »wmówił«.

Kiedy młoda hrabina o sobie podanie profesorskie czytała, na ustach jej błądził uśmiech rozkoszny, któremu przez *pince-nez* przypatrywał się stojący przed nią w sutannie ksiądz młody. Hrabina przeczytała i druk księdzu z gracyą podała. Ten przeczytał, zamyślił się — zadumał; *pince-nez* na nosie poprawił i przez szkła hrabinie w oczy spojrzał.

— I cóż?... — wypłynęło z ust jej karminowych zapytanie.

— Hm... nie... — odrzekł, *pince-nez* poprawiając.

— Tam popisane rzeczy takie...

— A więc?...

Hrabina westchnęła.

— Zaznaczone... za-zna-czone... — mówił ksiądz powoli — intencye...

— Oh... — westchnęła.

— Nie masz, nie miałaś ich... pani?...— podchwycił z żywością niejaką.

— Tak... ale...

— Wszak wyjeżdżasz... pani... do Paryża...

Hrabina głową skinęła.

— A zatem...

— Co?... — zapytała, podnosząc na młodego księdza oczy czarne, wilgocią niby powleczone.

— Intencye się tam w pełni rozwinąć będą mogły...

Hrabina oczy spuściła i przyciszonym głosem rzekła:

— Smutno mi jednak za Krakowem będzie...

— Ja tam przyjadę...

— Ach! nie... zawołała strwożona niby, dłoń podnosząc — nie... nie...

— Rozkaz pani prawem dla mnie... — odezwał się młody kapłan przez zęby.

— Praw ja dyktować nie chcę; pragnę tylko...

— Czego?... — zapytał, czoło sobie dłonią pocierając i dłoni własnej się przypatrując.

— Ehm... — odkaszlnęła z cicha młoda kobieta i dalej, zająkując się nieco, mówiła: — pragnę... wskazówek niejakich... co do... intencyj...

— Objawiać je czynami...

— Jakimi?...

— Miłosierdzia... Rzecz to najprostsza i najłatwiejsza... dostarczająca przytem dystrakcyi nie mało, nacechowanej tym interesem, jaki w rozmaitości tkwi...

— Jakto?... — zapytała.

— Z jednej strony widoki przepychu, z drugiej widok nędzy... Stąd wynika zrównoważenie dystrakcyj, które, w jedną wyłącznie skierowane stronę, zawlekają dalej, aniżeliby się zawlec dać chciało... Pani...

Zauważyć należy, że wyraz »pani« wymawiał szarmancki ksiądz z wyrazistym jakimś przyciskiem, którego znaczenia my nie znamy.

— Pani... — powiadał tedy — miłosierdzie praktykując, będziesz w niem miała ekran, który stawia się przed kominkiem, ażeby łagodził upał płomienia...

Wejście hrabiego przerwało zajmującą tę rozmowę. Ksiądz *pinee-nez* puścił i przybrał minę pokory anielskiej. *Pince-nez* mu się u pasa chwiało, połyskując raz szkłem, znów oprawą złotą, a z ramion, zdawało się, strzeliły mu skrzydła, złożone niby i odpowiadające harmonijnie złożonym dłoniom i pochylonej głowie.

Hrabia go okiem zmierzył życzliwem i uprzejmem. Przeniósł następnie spojrzenie na hrabinę, której oblicze wyrażało w chwili tej zmieszanie lekkie, i odezwał się:

— Nie rozumiem doprawdy, dlaczego by towarzyszyć tam nie miał spowiednik twój, pani..

— Przy wyrazach ostatnich oczami na księdza młodego wskazał.

Hrabina odchrząknęła, odkaszlnęła z cicha i odrzekła:

— I ja nie rozumiem...

— Ojcze Anzelmie... — zwrócił się hrabia do księdza — wszak rozstrzygnięcie tej kwestyi od ciebie zależy...

— Nie odemnie hrabio... — odparł tenże.

— Jak to?...

— Związany jestem ślubem posłuszeństwa...

— Można mu przecież zadość uczynić, ślub ten bowiem nie zabrania prosić o pozwolenie...

— Prosić łatwo, uzyskać trudniej...

— A gdybym się ja wstawił i prośbę od siebie wniósł...

— O nie!... — podchwyciła hrabina.

— Czemu?... — zapytał hrabia ze zdziwieniem niejakiem.

Zanim jednak hrabina na odpowiedź się zdobyła, ojciec Anzelm odrzekł:

— Nie teraz... Zanosiłem już do konsystorza prośbę, konsystorz atoli odpowiedział mi, że mnie potrzebuje; odpowiedzieć więc tak samo i hrabiemu by musiał... Nie należy się hrabiemu na odmowę narażać...

— Ph... to prawda... Racya.. Dziękuję wam, ojcze Anzelmie... Jeśli jednak nie teraz, to później...

— Później... może..·Nie wiem... Zależy to od spraw ważnych, jakie w czasach obecnych wiary słabnącej na barkach konsystorza spoczywają...

— Ach... — pokiwał hrabia głową. Tak... W Krakowie wszakże wiara nie słabnie...

— Pozornie... Zszedłszy jednak do serc głębi... o!...

Wzniósł oczy i dłonie do góry; w pozycyi tej jeden Matejko chyba, gdyby go portretował, odgadłby i na płótnie wyraził, co w duszy jego przebywało. Dla ludzi zwyczajnych przedstawiał się on, jako młodzieniaszek święty, zasługujący na to, ażeby tak jak był, wypomadowany, uperfumowany, wygolony, upiumerowany i sutanną okryty, w niebo wziętym został.

Hrabina patrzała na niego z pod oka, z wyrazem na twarzy, zajmującym środek pomiędzy drwiną a zachwytem.

— O!... — z ust mu przeciągle płynęło.

— Powiadał mi jednak — przerwał hrabia — pan... pan?... pan?... przypominał nazwisko sobie.

— Zagraj... — odpowiedział ksiądz.

— *C'est ça...*

— Redaktor naczelny...

— *Précisement...*

— I cóż on powiadał?...

— Że, dzięki wpływowi, jaki dziennik ten wywiera, moralność na wierze silnej oparta, silnie...

Hrabia urwał i po chwili zapytał:

— Czyż w tem, co mi pan Zagraj powiadał, nie ma może... precyzyi ścisłej?...

— Nie ma ścisłej zupełnie, jest jednak niejaka, rozluźniona trochę... To nieszczęście, że tego, co on tak pięknie pisze, nikt na seryo nie bierze, a przedewszystkiem, on sam...

— On sam?... -- zdziwił się hrabia.

— To nieszczęście... — powtórzył ksiądz, ramionami ścisnął, głową skinął, brwiami ruszył i, spostrzegłszy się snać, iż się wygadał niepotrzebnie, ucieczki poszukał w środku, uniemożliwiającym dalsze ze strony hrabiego rozpytywanie: zrejterował.

Zaciekawiony atoli hrabia do żony się zwrócił.

— Ojciec Anzelm nie łaskaw, jak się zdaje, na pana Zagraja... Czemuż to?...

— Czemu?... — odparła młoda pani. Doprawdy... Żartują sobie z niego...

— Powód jaki daje?...

— Zapewne...

I od niej się dowiedzieć nie mógł, nie wyjechał atoli z Krakowa bez powiadomienia się o sprzeczności pomiędzy słowem a czynem, jakiej pan Zagraj był żywem wcieleniem. Mąż ów — na pokaz bowiem powagą był — stawał twardo i wymownie w obronie wiary i moral

ności, sam zaś, w kościele nie bywał, postów nie zachowywał, pacierzy nie odmawiał, nie spowiadał się, w karty się zgrywał, okazyj do wypitki nie opuszczał i, co najgorsza, z jejmościanką jakąś na kocią mieszkał wiarę. Wspominamy o nim mimochodem, dlatego jedynie, ażeby nie posądzono hrabiego Artiura o bezwzględną w odniesieniu do tego, co się w kraju ojczystym dzieje, obojętność. Jak się z tego pokazuje, interesował się on sprawami krajowemi. O panu Zagraju informacye pobrał i nawet jedno, natury ogólnej, świadczące jako źle względem Polski uprzedzonym nie był, postrzeżenie uczynił.

— Hm... — odezwał się razu pewnego, na krótko przed wyjazdem z Krakowa — o Polakach miałem wyobrażenie dla nich niepochlebne...

— No? — zapytał jeden z kuzynów, człek powagą się cieszący wielką.

— Znałem ich ze słyszenia...

— I cóżeś słyszał o nich?...

— Obijało mi się o uszy i sam powtarzałem przysłowie: *fou comme un Polonais*...

— Przysłowia są mądrością narodów... — wtrącił kuzyn poważny.

— Widzi mi się jednak, że w tym razie mądrość owa pobłądziła...

— Niekoniecznie...

— Nie widziałem... ba, nie... — poprawił się — widzieć mi się zdarzało pijanych, ale nie spostrzegłem, ażeby zachodziła różnica jaka rażąca pomiędzy pijanym Francuzem a pijanym Polakiem... To wszystko jedno...

— Pomiędzy Polakami najprzód za krótkoś przebywał... — odparł kuzyn poważny — a powtóre, Polacy posiadają sztukę upijania się bez wypicia kropli wina, wódki, ani piwa nawet...

— Upijają się więc wodą zdrojową... — wtrącił hrabia tonem żartu.

— Gorzej... — odparł kuzyn — powietrzem...

Że hrabia zdziwienie niejakie z powodu tego okazał, kuzyn przeto poważny skreślił mu obraz stanu rzeczy i ze skreślenia tego wypadło, że w społeczeństwie polskiem, jak szeroko ono sięga, wszystko jest ustawicznie pijanem, z wyjątkiem stronnictwa stańczyków i jego rozgałęzień, idących w kierunkach rozmaitych.

Wszystko się zresztą zatacza — mówił, od Matki boskiej, do której zwracają wzroki tęskne patryoci na serce chorzy, do Darwina, do którego modlą się patryoci chorzy na głowę... Pijani przytem gryzą się *à belles dents* pomiędzy sobą... W przysłowiu przeto jest racya, racya zupełna... — kończył: — maluje ona Polaków tak, jak są, pijanymi ustawicznie i dającymi od czasu do czasu światu widowisko orgii entuzyazmu, wciągniętego wprost z powietrza...

— Znaczenie więc „*fou comme un Polonais*“ do tego się odnosi?...

— Do niczego innego — odrzekł kuzyn. Dowód to, że cudzoziemcy trafny o nas sąd wydawać umieją...

— Nie o wszystkich, bądź co bądź...

— Wszak wyjątek zaznaczyłem... Wyjątki jednak reguły ogólnej nie niszczą, ani jej osłabiają... Musimy, niestety! nosić na czele piętno narodowe...

— To smutne... — rzekł hrabia — ale... ale czyż tego samego o Francuzach, naprzykład, powiedzieć nie można?...

— Zapewne... do pewnego jednak tylko stopnia; nie tak bezwarunkowo jak o nas... Francuzi... hm?.. Rola ich jest rolą gorszyciela, rujnującego tych, co się z nim wdają, umiejącego jednak samemu ruinie się opierać... Pijaną jest ona, po pijanemu jedna trzyma się i to tak pociągającą czyni.. to sprawia, że ciekawość wzbudza, podobną do ciekawości owego Anglika, który za pewnym skoczkiem na linie po świecie jeździł, w celu oglądania go jak kark skręci... Czy my nie w tym po części do Francyi jeździmy celu?... co?...

(D. c. n.)



ECHA POLSKIE.

Skarb Narodowy.

Z górą sześć lat temu broszura pułkownika Z. Miłkowskiego p. t. »O obronie czynnej i o skarbie narodowym« zelektryzowała całe społeczeństwo polskie: nietylko wulkaniczna Warszawa, strasznie gnębione, a zawsze patryotyczne Wilno i Lwów ruchliwy, ale nawet drzemiący Kraków i spokojny Poznań — wszystkie centry naszego umysłowego i politycznego życia zawrzały naraz. Myśl rzucona przyjęła się, i zaczęto ją w czyn wprowadzać.

Zapalna jednak natura nasza i w tym wypadku wylazła jak szydło z worka.

Chwilowe uniesienie, pierwszy szlachetny zapał już po kilku miesiącach dzięki *refleksyi*, dzięki krytyce tych, co nic nigdy nie zbudowali a przez cały swój żywot psują wszystko, — zamieniły się w obojętność.

Celowało w tem Poznańskie i Galicya; zabór Rosyjski — pomimo, że tam trzeba się z tym bardzo liczyć — zbierał niewiele, ale zbierał ciągle, wreszcie zmienił system poborów i obecnie przeznacza sumy zebrane na cele bieżące.

Że Poznańskie mało się przyczyniało dotąd w zwiększaniu Skarbu Narodowego, jest to zrozumiałem zupełnie, ponieważ jednocześnie prawie wysunęła się tam sprawa Banku ratunkowego. Dla czego jednak Galicya, pomimo że wybrańcy demokracyi, posłowie Dr. Karol Lewakowski i Dr. August Sokołowski, zasiadają w komisyi Nadzorczej Sk. N., jest tak obojętną dla tej sprawy?

Pytamy dla czego? czyja to wina? Rozumiemy, że wiele jednostek pod zaborem moskiewskim może mieć pewne wątpliwości: nie dochodzą tam regularnie sprawozdania i nie mogą być szeroko rozpowszechniane, nie można o tem pisać, trzeba o tem cicho mówić, ale tu w Galicyi — społeczeństwo może być ciągle informowane o biegu spraw, w reszcie ma dwóch swych przedstawicieli, którzy corocznie u źródła wszystko sprawdzają...

Mamy nadzieję, że broszura wydana staraniem Zarządu Związku Wychodźtwa polskiego p. t. »Skarb Narodowy« przyczyni się do tego, że obecnie i Galicya i Poznańskie wezmą do serca tę tak ważną sprawę. Z ciekawej tej broszury dowiadujemy się, że Wychodźtwo nasze, i europejskie i amerykańskie, niczem niezrażone, skrzętnie zbiera, nie oglądając się na nieprzychylne głosy puszczyków stańczykowsko-krakowskich i »krajowo-petersburskich«.

Sprawozdanie przeszłoroczne wykazuje, iż Skarb Narodowy (europejski) w Muzeum Narodowem w Rapperswylu ma złożonych 44.619 franków. Skoro fundusze wzrosną do 100.000, dwie trzecie rocznych procentów stają się rozporządzalnemi, a że w Ameryce zebrano przeszło 56.000 franków — więc jak tylko instytucye powyższe zleją się, Skarb Narodowy będzie mógł uwidocznić swe znaczenie.

Oby się to stało jaknajprędzej!

Dla wiadomości czytelników podajemy adresy *głównych ognisk poboru:*

Komisya Skarbu Narodowego w Paryżu. Adres: E. Korytko, rue des Moines, 16. Paris.— Kasa Centralna »Związku Wychodźtwa Polskiego« w Paryżu (adres podamy później). Instytucya Sk. Nar. w Sofii. M. Woronicz. Sophia (Bulgarie), rue du Gymnase, 966.

* * *

Przedwczesna radość „Przeglądu".

Upadek stronnictwa demokratycznego konstatuje *Przegląd* lwowski, stwierdzając u p. Szczepanowskiego, Rutowskiego i Sokołowskiego przechylenie się do zasad konserwatywnych. Prawda, na której swój wniosek opiera *Przegląd*, może słuszna, wniosek jednak mniej udały. Odstępstwo od zasad demokratycznych kilku posłów nie może być i nie jest dowodem upadku stronnictwa tak poważnego, jak nasz zastęp postępowy — może ono raczej wskazywać proces oczyszczania się tego stronnictwa, po którem wyjdzie silniejsze i zwarte, niehamowane przez ludzi chwiejnych i niepewnej barwy. Nie w ilości bowiem tylko, ale i w jakości tkwi siła.

I jeszcze jedno — czy *Przegląd* nie przeliczył się w ocenieniu smutnej pa-

mięci ostatniego występu p. Szczepanowskiego i nie zaciągnął go zbyt spiesznie w swoje szeregi.

Zaznacza także *Przegląd*, że powstanie naszego pisma jest dowodem dobrym rozbicia stronnictwa. Tu już stanowczo myli się organ antimasoński. Nie burzyć, lecz budować jest zadaniem naszem, i niczego więcej nie pragniemy, jak wspólnej pracy z tymi, co dotąd stali na czele stronnictwa demokratycznego, tembardziej, że po oczyszczeniu się lewicy sejmowej z żywiołów niepewnych, jest nadzieja porozumienia się — żądamy bowiem tylko pracy śmielszej, organizacyi dzielnej, na szerszych podstawach opartej, wyraźnych i stałych zasad.

* * *

Kilka uwag o obchodzie styczniowym.

Obchód rocznicy powstania z r. 63/4 w sali »Sokoła« napełnił nas prawdziwym smutkiem. Co to właściwie było? Nie koncert przecież, bo program zanadto słaby i siłami amatorskiemi wykonany, nie mógłby być wykonany na koncercie.

Czy to obchód narodowy? Trudna odpowiedź. Pewne okoliczności wskazywałyby, że obchód był zamierzony. Lecz treść i zewnętrzna szata nie odpowiedziały wcale oczekiwaniom.

Sala »Sokoła« w zwyczajnej swej szacie z drabinami i drążkami, chyba nie dostrajała się do obchodu narodowej rocznicy. Na 400 krzeseł 100 pustych, po bokach sali garsteczka młodzieży, na przodzie wytrwałe grono uczestników powstania, trochę pań i oto wszystko! Czy to święto narodowe i kto je obchodzi? Wszak nie naród? Gdzie te tłumy narodu, pragnące wspomnieć sobie w tej chwili o krwawych zapasach za wolność, podnieść ducha i pokrzepić się na przyszłość? A przedewszystkiem gdzie reprezentanci narodu? Czy prezydentowi miasta, posłom, członkom Wydziału krajowego, dygnitarzom krajowym, profesorom uniwersytetu i innym wielu, wielu nie wolno już święcić narodowego obchodu w tym wolnym kraju? Czy może za mało ich to obchodzi? Święto narodowe jest świętem wtedy, gdy wszyscy je obchodzą, a chyba w naszych warunkach nikt nie powinien o tem zapominać i może bankiet dla ministra, choćby rodaka, mógł pójść w odwłokę...

Lecz przejdźmy do treści. Czy należy i czy można pozwolić, aby byle kto i byle jak wykonywał program obchodu? Gdyby nie chór »Echa« i nie deklamacya z »Wielkiego roku« — nie wiedzielibyśmy czy śmiać się, płakać, czy oburzać. Pomijamy słowo wstępne, mówca nie mógł należycie przygotować się, bo uproszony do przemówienia Dr. Dzędzielewicz podobno zachorował w ostatniej chwili. Zastępca powinien był w tych warunkach powiedzieć kilka gorących, serdecznych słów. To się nie stało — szkoda, bo mowa przerywana często, psuła wrażenie.

A reszta?! Mój Boże! Z dymem pożarów, niby deklamowane przy towarzyszeniu (?) fortepianu, śpiew jakiejś amatorki o tem i owem — to program! Nie, to parodya, na którą nie wolno pozwalać.

Obchód narodowy niech będzie świętem prawdziwem, niech nie lenią się panowie od muzyki i śpiewu, wspierane przez kraj »Lutnie«, »Harmonie«, »Towarzystwa muzyczne« i wszyscy najlepsi, najdzielniejsi niech śpieszą ze swą pomocą w ten dzień, bo to jest obowiązkiem narodowym. Obowiązek ten należy wykonać, a nie mydlić oczu pochlebstwami i ogólnikami zakrywającemi prawdę.

Jeżeli tak być nie może, jeżeli *w wolnym* kraju nie możemy mieć należytego obchodu narodowego, jeżeli starania kilku zacnych jednostek, które nie szczędzą swych trudów celem urządzenia obchodu, nie znajdują poparcia, jeżeli ogół nietylko zachowuje się apatycznie, ale zakulisowe intrygi, niechęci i zawiści w takiej chwili odgrywają rolę i psują rzecz poważną, to nie urządzajmy takich obchodów i dajmy pokój szopce!

Tych kilka słów prawdy musieliśmy napisać, bo to nie pierwszy raz taki niby obchód, a przez zatajenie prawdy wyrządza się szkodę samemu społeczeństwu.

* * *

Krucyata kościelna i skromne pytania.

Bombę rzucono w Galicyi. Nie sprowadziła wprawdzie nigdzie uszkodzenia ciała — nie wysadziła żadnego pałacu, bo też nie w pałace, ale ciśnięto ją w chaty chłopskie, gdzie wielkie sprawiła zamięszanie — pojęć i niepokój.

W dzień Bożego Narodzenia odczytano w kościołach na całym obszarze kraju *kurendę biskupią*, zakazującą pod grozą kar kościelnych i wyklęcia niemal czytania pism ludowych: *Pszczółki, Wieńca* i *Przyjaciela ludu*, jako pism heretyckich i burzących porządek społeczny.

W wieku XV. zbrodnia czytania takich rzeczy karaną była stosem — dziś tylko odmówieniem posług religijnych...

Nie w »Echach« miejsce do rozstrzygania, czy pisma te rzeczywiście heretyckie, — pomówimy o tem obszerniej — tu tylko dwa pytania postawimy:

1. Czy godzi się używać religii do walk politycznych?

2. Kto więcej na tem traci: czy kościół wiernych owieczek, — czy z ambon reklamowane pisma prenumeratorów?

* * *

Nasz Światowid w niebezpieczeństwie.

Żyjemy w epoce reakcyjnej... Najlepszym dowodem tego jest ta okoliczność, że dzisiaj tacy ludzie jak car, Hurko, ks. Bismarck bardziej się obawiają stłuszczenia serca, podagry i rozstroju nerwowego, aniżeli wszelkich bomb, gwoździ i szyderstw miotanych zewsząd na parlamenty lub wysyłanych wprost pod adresem — trybunów ludowych. Widocznie takie już czasy nastały. Minister austryacki czerwieńsze puszcza fajerwerki na *cyrcensach* ludowych od niejednego trybuna, palącego na nich beczki rafinowanej smoły... Bebel z chlebem i solą wita powracających Jezuitów; Crispi nie szle już »tysiąca Garybaldczyków« na oswobodzenie Sycylii, ale z trzydziestoma tysiącami Morrejczyków koczuje pod kraterem dymiącej Etny, aby prochem zatkać paszcze wulkanu... We Lwowie zaś lud się buntuje przeciwko dawnemu swojemu bożyszczu i druzgocze posąg galicyjskiego Światowida. I za co? za to, że jedną z czterech swoich twarzy, śmiał obrócić w inną stronę, zanadto już duszony samym dymem miry i kadzidła... Niceśmy jednak nie wiedzieli o tem w jakiem niebezpieczeństwie była jego statua, podczas otwarcia Sejmu, pamiętnej nocy z dnia 9. na 10. stycznia b. r., dopiero berlińskie gazety powiadomiły nas, jak groźną noc przespaliśmy wówczas. Telegramy ze Lwowa wysłane nad Sprę w ten sposób przedstawiły sytuacyę: »Z powodu mowy posła Szczepanowskiego, wygłoszonej w Radzie państwa za stanem wyjątkowym w Pradze, rozrzucają kartki podburzające ludność przeciw p. Szczepanowskiemu. Obawiają się zaburzeń i rozruchów pomiędzy ludnością. Gmach sejmowy został wojskiem i żandarmami otoczony. Krążą bowiem pogłoski, że przed gmachem sejmowym, chcą urządzić tak zwaną kocią muzykę«.

Odetchnęliśmy — to o kocią muzykę chodziło w rocznicę »fakelcugu«. Nie dziwi nas w obec tego skromność posła Szczepanowskiego, który, pragnąc uniknąć marcowych owacyi, wiercił tymczasem głębokie pokłady galicyjskiej ziemi, kanadyjskim sposobem.

* * *

Kongres pedagogów bez pedagogów.

Ucieszyła nas niewymownie zapowiedź, że w czasie wystawy odbędzie się we Lwowie »Kongres pedagogów polskich«.

Sprawa wychowania młodzieży jest sprawą pierwszorzędnej doniosłości i obchodzi niewątpliwie *całe* społeczeństwo polskie. Od nas samych zależy, jakiemi będą dzieci nasze, społeczeństwo bowiem ma prawo i obowiązek czuwania nad kierunkiem wychowania młodzieży i wytykania wad i usterek dostrzeżonych, a wskazywania życzeń i pragnień.

Czy społeczeństwo korzysta ze swych praw i wykonuje obowiązki?

Niestety — nie!

Narzekań słyszymy sporo, ale, gdy idzie o pracę, nie widać narzekających.

W dniu 20. bm. odbyło się posiedzenie komitetu zwołującego kongres. Bardzo słusznie powołano do komitetu nietylko przedstawicieli poważnych towarzystw: pedagogicznego i nauczycieli szkół wyż-

szych, ale także członków komitetu obywatelskiego, ażeby ci wypowiedzieli życzenia i uwagi szerokiego ogółu. Zainteresowanie się tą ważną sprawą było tak silne, że na sto kilkadziesiąt osób zaproszonych przybyło zaledwie około 30.

Uniwersytet przodował w tej.... nieobecności. Z grona uniwersyteckiego przybyli jedynie profesor Dr. Radzi szewski, Dr. Roszkowski i Dr. Finkel. Na tylu tylko uczestników zdobyli się przedstawiciele najwyższej wiedzy w przededniu bankietu dla ministra. Na bankiecie z pewnością nie zabrakło nikogo, a sądzilibyśmy, że sprawa »I. kongresu pedagogów polskich« chyba może nie mniej ważna.

Lecz i szczupłe grono zebranych prowadziło swe obrady. Rozprawiano wiele o sprawie wyższego wykształcenia kobiet, ale światłe głosy tych, którzy ważność tej sprawy uznawali, napotkały na opozycyę, że »ta sprawa importowana do nas z zagranicy«.

Nie będzie więc osobnej sekcyi dla sprawy wychowania kobiet. Mniejsza o to. Sprawa ta i bez sekcyi wywalczy sobie należne uznanie.

Ostatecznie uchwalono podział kongresu na sześć sekcyi. Mianowicie uproszono Dr. Radziszewskiego do zorganizowania sekcyi I. (szkoły wyższe), dyrektora Próchnickiego do zorganizowania sekcyi II. (szkoły średnie), profesora Soleskiego do zorganizowania sekcyi III. (szkoły ludowe), lekarza Szpilmana do zorganizowania sekcyi IV. (hygiena zdrowia), profesora Sołtysika do zorganizowania sekcyi V. (wychowanie domowe), Dra Hirschberga do zorganizowania sekcyi VI. (oświata ludu).

Praca zaczęta.

Niechże chociaż teraz zbudzi się społeczeństwo ze swej ciągłej apatyi i niech pamięta, że w ręku naszem leży przyszłość. Wychowanie winno odpowiadać potrzebom narodu i musi być obywatelskiem i polskiem, aby przynosiło narodowi pożytek. Niechaj więc nad niem ogół czuwa, nie narzeka wciąż, lecz niech się bierze do pracy.

* * *

Poznał swój swego.

P. Masłowski bierze w obronę »liberała« posła krakowskiego, Dra Augusta Sokołowskiego. Wolno mu to. Podobały się p. Masłowskiemu trzy sążniste artykuły, odrzucone w *N. Reformie*, a prawdopodobnie ze skwapliwością przyjęte w *Dzienniku Polskim*, więc mu wolno wyciągać rękę do posła, który dzięki jedynie obrażonej dumie, z powodu nie otrzymanej profesury na wszechnicy Jagielońskiej, zapisał się do szeregów demokracyi galicyjskiej, ale nie wolno p. Masłowskiemu twierdzić, że każdy Polak, kochający Ojczyznę, powinien to samo zrobić.

Panie Masłowski, przecież już jako były »pozytywista«, nie powinieneś się pan zbytnio zapalać w ogóle, a tembardziej w adoracyi względem nie zupełnie zdeklarowanego konserwatysty.

Pomyśl pan, panie Masłowski, tak »pozytywnie« pan pomyśl, czy koniecznie wszyscy rodacy, miłujący Ojczyznę, mają wyciągać rękę »odstępcom zasad«, za które walczyli przez czas pewien...

* * *

Obojętność nasza na mord braci.

Że *nahajki*, puszczone w ruch na ulicach Warszawy w setną rocznicę Konstytucyi 3. maja, że cierpienia więzionych setkami w X. pawilonie, oraz cierpienia ich rodzin, — że te razy, które się posypały na ludność robotniczą Żyrardowa i Łodzi, — że bicie i rozpędzanie nabożnego ludu w Śledzianowie *) nie poruszyły żywiej rodaków w Galicyi i w Poznańskiem — to jeszcze można wybaczyć, ale, że krew, krew świeżo przelana, że te *sześćdziesiąt ofiar* ludu żmudzkiego w Krożach nie wywołały żadnego protestu — to jest już rzecz

*) Latem 1892 r. w Śledzianowie, wiosce położonej tuż za Bugiem w gub. Grodzieńskiej pewnego razu lud ujrzał drzwi dawno zamkniętego kościoła otwarte. Nadano temu cechę cudu. Lud począł się gromadzić ze wszystkich pobliskich okolic — nastąpiły starcia z władzą i wojskiem — poczem ówczesny jenerał-gubernator wileński, Kachanów, rozkazał murowany kościół ten zburzyć. Dach i mury do połowy zwalono już, kiedy nadszedł rozkaz z Petersburga zaprzestania tego barbarzyńskiego niszczenia świątyni.

godna zastanowienia. Wszak w owym czasie odbywały się posiedzenia parlamentu wiedeńskiego... Ale, prawda, nasi posłowie, nasi złotouści nie mieli czasu wtedy – musieli przecież radzić, jak przemówić w sprawie *umotywowania stanu oblężenia;* podniesienie sprawy w Krożach zostawiają prawdopodobnie swoim kolegom parlamentarnym.... w Londynie, Berlinie. Ci już nieraz przemawiali o barbarzyńsko - kozackich rządach, o tem niebezpieczeństwie, jakie grozi cywilizacyi ze strony rozrastającej się Moskwy. Więc posłowie są wytłómaczeni — nie mieli czasu zwrócić uwagi na taki »drobny« wypadek, gdzieś tam na Żmudzi. Ale co znaczy, że oprócz ckliwo - płaczących artykułów dziennikarskich i nabożeństwa, urządzonego przez młodzież, całe społeczeństwo galicyjskie milczy?

Wszak mamy prawo zgromadzeń, możemy zwoływać wiece — więc należałoby urządzić wiec w tej sprawie i postarać się o to, aby cała Europa i cały świat cywilizowany dokładnie były poinformowane, jak postępują Moskale z braćmi naszymi.

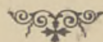
* * *

Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość.

Raz jeszcze przypominamy Szanownym czytelnikom, że pewne grono osób, pragnąc uczcić rocznicę Kościuszkowską, wydaje książkę pamiątkową, opracowaną przez znanego w literaturze naszej historyka. Dzieło to poprzedzone wstępem, zawierającym ogólny pogląd na przeszłość Rzeczypospolitej i jej upadek, po raz pierwszy da czytelnikowi zupełny obraz czasów porozbiorowych, — obraz wysiłków naszych patryotów, naszych rewolucyi i powstań — naszej stuletniej walki. Dla tego dzieło pomienione nosić będzie tytuł: *Stuletnia walka narodu polskiego o niepodległość.* Szczegółową treść podaliśmy w nr. 1-ym.

Ponieważ wydawcy w celach propagandy narodowej powyższe dzieło chcą ilustrować i odbić w jak największej ilości egzemplarzy, na co potrzeba od razu znacznego funduszu, postanowili więc w drodze prenumeraty naznaczyć cenę 1 zł. W przyjmowaniu prenumeraty pośredniczy Redakcya »Słowa Polskiego«.

Z przesyłką prenumerata wyniesie 1 zł. 10 ct. Księgarska cena będzie wyższą.



PRZEGLĄD LITERACKI.

Kazimierz Rojan: *Maska,* powieść współczesna. Lwów, 1893.

Na czem właściwie współczesność tej powieści polega? Nie na charakterach, nie na ludziach, bo charaktery, przedstawione przez autora, niczem lub prawie niczem nie wyróżniają się od codziennie spotykanych ludzi. Współczesność tkwi w idei, którą autor podniósł i uczynił sprężyną akcyi powieściowej. Jest to idea walki o odzyskanie utraconej ojcowizny. Kiedy coraz bardziej ziemia poczęła wysuwać się z rąk naszych, ażeby już nigdy do nich nie wrócić, kiedy prawa wyjątkowe na południowo-wschodniej miedzy naszej, zarówno jak i północno-zachodniej skierowane zostały do wydarcia nam ziemi polskiej, z konieczności logicznej musiała się wytworzyć reakcya t. j. świadome dążenie do utrzymania jej, jako posterunku narodowego. Każda piędź stracona uszczuplała nasz obszar państwowy w przyszłości. Tam gdzie wolno było walczyć o odzyskanie utraconej ojcowizny, idea potrzeby utrzymania ziemi przybrała charakter walki o odzyskanie.

Na tem tle autor osnuł swoje opowiadanie. Treść tego opowiadania da się w kilku słowach zamknąć. Czarnomińscy rozmaitą drogą doszli do posiadania majątku Urminów; młody Urmin postanowił odzyskać go wszelkiemi sposobami. O tyle mu to było łatwiej, że na pozostałej reszcie pracował energicznie i miał nadzieję zdobycia w przyszłości takich funduszów materyalnych, któreby umożebniły odkupienie poprostu majątku. Hasła pracy organicznej, pojęte szlachetnie, grają także niepoślednią rolę jako motory.

Nie zdaje mi się ażeby autor wyzyskał należycie myśl przewodnią; główny bohater opowiadania posiada zamało skupionej energii, rozprasza siły swoje i w kilku zaledwie czynach składa dowody rozumnej,

poważnej pracy, która mogłaby go do zwycięstwa zaprowadzić. Całej akcyi Urmina brakuje równości: mając na celu odzyskanie majątku w kraju, goni światami, przebywa za granicą, walczy w czasie wojny francusko-pruskiej przeciwko Prusom i wreszcie, powróciwszy do kraju — żeni się jak najzwyklejszy filister z Janką, dziedziczką całej, niegdyś do jego rodu należącej majętności. W ten więc sposób, za pomocą ożenienia, a nie inny, odzyskuje majątek.

Ta niekonsekwencya głównego bohatera obniża wartość jego charakteru i zaciera zupełnie prawie myśl przewodnią.

Co do całości technicznej, że tak powiem, grzeszy ona, jak wszystkie utwory młodych autorów, którzy dużo do powiedzenia mają, rozwlekłością i nieproporcyonalnością. Obfitość materyału myślowego nie pozwala im często skupić akcyę na kilku wybitnych momentach, skutkiem czego powieść zyskuje na formie, bardziej skończonej, a charaktery na pogłębieniu i plastyce. Wyjazd Urmina do Francyi, pobyt tam, walka, są ustępami epizodycznemi barwnie malowanemi, ale nie stoją one w ścisłym logicznym związku z całością, skutkiem czego ogólne wrażenie znacznie się osłabia.

Autor posiada dar łatwego, wdzięcznego opowiadania, jest dobrym obserwatorem codziennych zjawisk życia, umie zachować miarę prawdziwą w rysunku artystycznym, co wszystko pozwala wnioskować o dalszym, prawidłowym rozwoju jego talentu. Do niepoślednich zalet pisarskich Rojana należy umiejętność wywoływania w czytelniku silniejszych wrażeń i uczuć bardzo małemi środkami, — a już to samo byłoby najlepszym dowodem artystycznej duszy autora. Z takiemi zadatkami wcześniej lub później, ale zawsze zdobywa sobie pisarz poważne stanowisko.

Fr. Rawita.



SZTUKA.

NASZA MUZYKA.

I.

Rzuciwszy okiem na ubiegłe dzieje muzyki w naszym kraju i porównawszy ówczesne czasy z teraźniejszemi, musimy przyjść do tego smutnego przekonania, że jeśli w ogóle na całym świecie dają się słyszeć utyskiwania na upadek tej »najbardziej boskiej ze sztuk« to tem bardziej są one usprawiedliwionemi u nas. Fatalny jakiś zastój, grobowa prawie cisza zalega te pola, na których przecież dawniej dokazaliśmy dość wiele. Nie możemy nawet, jak inne narody, mówić o upadku, gdyż przebiegając okiem dzieje muzyki u nas w ostatnich dziesiątkach lat, nie widzimy nawet owego stopniowania ku gorszemu, jakie daje się spostrzedz w historyi muzyki innych krajów. Nagły ów zastój, owa próżnia w polskiej muzyce datuje się mniej więcej od śmierci Moniuszki. Póki on żył, wiedział przynajmniej świat muzykalny, że Polska posiada swoję muzykę, swego kompozytora, swoje opery, swoje pieśni. Każde jego dzieło nosiło na sobie wybitne piętno; utwory jego same przez się stawały się popularnemi, a sława jego, pomimo, że on przy wrodzonej skromności bynajmniej się o to nie starał, otwierała przed nim podwoje za granice kraju i dawała znać o istnieniu polskiej muzyki.

Moniuszko wskazał kierunek, w którym muzyka nasza postępować powinna. Gdyby kompozytorowie nasi, trzymając się wytkniętej przez niego drogi, zużytkowując oczywiście wszystkie korzyści, które nowsze prądy w muzyce do niej wprowadziły, czy to wychodząc wprost z elementu pieśni ludowej, czy też tylko opierając się na nim, dalej w tym kierunku byli pracowali i tworzyli, bylibyśmy może doszli do wyników, zdolnych zadziwić świat cały. Stało się jednak całkiem inaczej. Nie wiadomo skąd zeszli kompozytorowie nasi na tory zupełnie niewłaściwe, co więcej duchowi narodu naszego wręcz przeciwne: w operze Żeleński wstępuje w ślady Meyerbeera, Jarecki tworzy, nie trzymając się ściśle żadnego kierunku, pociągany z jednej strony geniuszem Wagnera, a z drugiej więcej tkliwej duszy pokrewnymi lirykami, jak Gounodem i Weberem; Żeleński w utworach symfonicznych hołduje Mendelssohnowi, a Noskowski rozdrabnia swój talent i marnuje gruntowne wykształcenie muzyczne na utwory nie zawsze tego godne. Utworów swojskich fortepianowych prawie wcale nie ma.

Nowsza plejada kompozytorów naszych stoi jeszcze na rozdrożu. Do dzieł większych braknie im jeszcze odwagi czy też sił, pró-

bują więc lotu swego w utworach drobniejszych. Ale nawet i tu pracują i tworzą, nie mając pewnych wytkniętych kierunków. Jeden jednak bardzo pocieszający objaw możemy dostrzedz u naszych teraźniejszych kompozytorów, to jest, większe zajęcie się pieśniami ludowemi. Oddawna już wydawnictwa takie jak prace Kolberga, Zaleskiego itd. powinny były zwrócić uwagę naszych muzyków na skarby zawarte w pieśniach ludu. Z radością powitać więc należy nowy ten objaw w muzyce; przerabianie pieśni ludowych na kwartety i chóry jest bardzo dobrym środkiem obznajamiania publiczności z cennemi materyałami, zawartemi w pieśniach ludowych. Należy jednak i tu zachować pewną ostrożność; postępować z pewnym pietyzmem, gdyż, jak to często zauważyliśmy, kompozytorowie nasi, zastosowując pieśni te do wymogów umiejętnego wykonania, czyto przypadkowo, czy też umyślnie, aby pokazać swoją całą umiejętność już to niestosownym układem, już to zbytecznem przeładowaniem kontrapunktycznem, — zmieniają te pieśni do niepoznania, tak, że zamiast dać publiczności czysty wątek melodyi swojskich, dają powikłaną kontrapunktyczną robotę, w której główna, zwyczajnie rzewna, prosta melodya ginie jak kropla w morzu. Błąd ten głównie możnaby wytknąć Noskowskiemu; kompozytor ten nie może się powstrzymać od tego, by przy pierwszej lepszej sposobności nie pokazać swojej całej umiejętności. Także Maszyński nie jest wolnym od tego, a p. Sołtysowi, który w najnowszych czasach wystąpił również z podobnem opracowaniem ludowych pieśni, poczytać należy za wielką zaletę, że zdołał poskromić tę chętkę popisania się i dał nam melodye w opracowaniu starannem, ale prostem i jasnem.

Być może, że przypadająca w roku bieżącym wystawa, wydobędzie na świat jakie większe dzieła, któremi będziemy się mogli pochwalić przed obcymi, być może, że wraz z młodemi Włochami pokażemy światu, że kult muzyki u nas nie zanikł, że Polska, która wydała Chopina i Moniuszkę, zawsze wierną jest ideałom, które przez całe życie przyświecały jak gwiazda przewodnia tym dwom wielkim kompozytorom. My zaś pilnie śledzić będziemy, notując na tem miejscu każdy nowy objaw, dokładnemu ocenieniu poddając każdy nowy utwór, tudzież postaramy się jeszcze wykazać, w czem leży główne źródło przeszkód, utrudniających naszej muzyce wzbicie się na wyżyny sztuki.

Edm. Walter.



NEKROLOGIA.

Już w bieżącym roku śmierć wyrwała naszemu społeczeństwu kilku zasłużonych.

W Warszawie 13. b. m. zmarł *Jerzy Aleksandrowicz*, przeżywszy lat 75, profesor Szkoły Głównej, dziekan uniwer. warszawskiego, po wysłużeniu emerytury, oddał się całkowicie na usługi społeczeństwa — już to jako kierownik szkoły ogrodniczej, na którem to stanowisku w sercach swych uczniów zostawił niezatarte wspomnienia, już to jako prezes Tow. ogrodniczego i dyrektor Muzeum przemysłu i rolnictwa.

Przed kilku miesiącami świat naukowy i literacki Warszawy uczcił Aleksandrowicza jako jubilata w zawodzie pedagogicznym, a przed 10 dniami oddał mu ostatnią usługę. Cześć jego pamięci!

W Krakowie zgasł przedwcześnie, bo w 53 r. życia, *Antoni Ryszard*, waleczny żołnierz szeregów Langiewicza i Czachowskiego. Będąc rannym w boju, szukał schronienia w Krakowie, gdzie też do r. 1879 musiał się ukrywać pod obcym nazwiskiem.

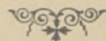
Zmarły we wszystkich pracach narodowych brał czynny udział, ale najwięcej oddawał się jednej — pracy nad oświatą ludu.

Zmarły znany był również jako pracownik na polu archeologii.

Cześć bojownikowi za wolnosc! Cześć prawdziwemu demokracie!

21. b. m. w Kamieńcu Podolskim mogiła się rozwarła przed głośnym historykiem Antonim Józefem *Rolle*, znanym szerzej publiczności pod pseudonimem dr. *Antoniego J.*

Zmarłemu poświęcimy w następnym numerze obszerniejsze wspomnienie.



ROZMAITOŚCI.

Pisma amerykańskie donoszą, że zmarły niedawno Mączyński, uczestnik powstania 63 roku, zrobił zapis na »Skarb Narodowy« (szwajcarski) w ilości 15.000 dolarów (75.000 franków). — Jeżeli wiadomość powyższa sprawdzi się, »Skarb Narodowy« będzie posiadał z górą 100.000 fr., a zatem działalność jego czynna rozpocząć się będzie mogła zaraz po zrealizowaniu zapisu.

W „Związku wychodźtwa polskiego“ nastąpiły nowe wybory do zarządu, przytem siedziba Wydziału Wykonawczego przeniesioną została z Genewy do Paryża. Do Wydziału weszli pp. Dr. Henryk Gierszyński, jako prezes, Dr. Saturnin Kleczkowski i Dr. Kazimierz Janowicz, jako wydziałowi. Bliższy adres podamy później.

W Zurychu, podczas świąt Bożego Narodzenia, odbył się VII. Zjazd »Związku Młodzieży Polskiej,« kształcącej się poza krajem. Na zjeździe skonstatowano pomyślny rozwój »Związku« do którego przyłącza się coraz więcej stowarzyszeń akademickich; omówiono ważniejsze sprawy obchodzące ogół młodzieży polskiej i wygłoszono trzy odczyty.

Zarząd główny „Szkoły ludowej“ z powodu nawału zajęć podzielił się na trzy sekcye: finansową, organizacyjną i administracyjną. — Na wystawę Kościuszkowską »Szkoła ludowa« przygotowuje mapę poglądową dla wykazania swej działalności.

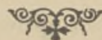
Udział Kółek rolniczych w powszechnej wystawie krajowej we Lwowie. W grupie pierwszej wystawy tegorocznej działalność swą przedstawią i galicyjskie Kółka rolnicze, rozwijające swą czynność w 925 gminach i liczące 43.500 członków. Wystawa ta, jako odrębna całość, obejmie to wszystko, co dla ludu podjęły i przeprowadziły Kólka rolnicze. Również przedstawioną będzie znaczna część gospodarstwa włościańskiego, co w poszczególnych działach (rolniczym, przemysłowym i handlowym) wykażą kółka, które już do tej chwili zgłosiły przeszło 1000 przedmiotów.

Zarząd główny Towarzystwa kółek rolniczych poruczył architektowi panu Lewińskiemu wystawienie pawilonu, zawierającego izbę posiedzeń, czytelnię, gospodę i sklep kółkowy, stale mający podczas wystawy funkcyonować. O ile przedmioty zgłoszone nie pomieszczą się w tym pawilonie, zostanie wybudowanym magazyn dodatkowy. Oprócz tego wzięto się już do sporządzenia wielkiej kolorowanej mapy ściennej z dokładnem rozmieszczeniem kółek rolniczych i sklepów, wraz z danemi odnoszącemi się do spraw związanych z ich działalnością.

Do przyjęcia udziału w wystawie zaproszone zostały także kółka rolnicze w Poznańskiem i na Śląsku. Zasłużony patron kółek Wielkopolskich odpowiedział, że już zostało zgromadzonem do 100 okazów z dziedziny przemysłu domowego (wyroby wełniane i lniane), dalej narzędzia gospodarskie, zielniki traw i roślin motylkowych, następnie dokładne przedstawienie organizacyi i administracyi, około 30 broszur treści gospodarskiej i komplety »Przewodnika gospodarskiego,« organu kółek poznańskich.

Z radością witamy te objawy samodzialnej pracy obywatelskiej, mającej na celu dobro włościan, oraz wyrażamy tę niepłonną nadzieję, że Dyrekcya wystawy poprze usiłowania kółek rolniczych dla zapewnienia poważnego ich udziału w wystawie.

O stanie zdrowia jenerał-gubernatora Warszawskiego Hurki donoszą, że Marja Andriejewna robi nadzwyczajne wysiłki, ażeby prawdziwy stan chorego ukryć. W tym celu przemocą prawie każe wsadzać do powozu schorzałego starca i obwozi go po Warszawie. Z drugiej strony, żyjąc ustawicznie w otoczeniu przesądnych i ciemnych kumoszek, i niemając zaufania do lekarzy w ogóle, idzie za radą swoich przyjaciółek. Skutkiem tego sprowadza z różnych stron znachorów i znachorki, które podkurzają Jego Ekscellencyę jałowcem, »ładanem«, jakoteż innymi specyfikami, utrzymując, że wyzdrowienie nastąpi niechybnie, chodzi tylko o to, ażeby djabła, który wlazł w nogę, wypędzić z mocno obsadzonego stanowiska. Czuwa nad temi czynnościami osobiście Jankulio, mocno podupadły na duchu, zgryziony, smutny, przewidujący, że jeżeli djabeł swojej sympatycznej siedziby nie opuści, Jankulio będzie musiał ze stanowiskiem Prezesa Komitetu Cenzury pożegnać się — na zawsze. Szkoda! Ciepłe to gniazdko!



BIBLIOGRAFIA.

Jan Kasprowicz. *Anima Lachrymans.* Zbiór poezyi wydany nakładem Jakubowskiego i Zadurowicza. Lwów, 1894.

Piękne wydanie, piękniejsza od wszelkich wydań treść zbiorku zalecają czytelnikom poezye p. Kasprowicza, jako jednego z wybitniejszych i najgłębszych przedstawicieli najnowszej poezyi naszej.

Witosław Halek. *Wieczorne pieśni.* Przełożył z czeskiego Władysław Bełza. Złoczów. Nakład Biblioteki powszechnej Zukerkandla.

Jest to zbiorek lirycznych poezyi jednego z ulubionych poetów czeskich. W. Halek nie odznacza się głębokością myśli, ani też polotem fantazyi, ale mięki i łagodny jego liryzm, z pewnem odcieniem sentymentalizmu jednał mu zawsze sympatye licznych czytelników. Proste, naturalne uczucia kochającej duszy, wypowiedziane rzewnie i serdecznie dźwięczą ciągle na jednej strunie miłosnej, ale szczerość poety podbija mu serce czytelników. Gładki, udatny przekład ułatwia nawiązanie węzła między czytelnikami a poetą.

Przewodnik naukowy i literacki. Styczniowy zeszyt jedynego we Lwowie miesięcznika, poświęconego literaturze i nauce, zawiera następujące artykuły: *Matejko*, przez Jana Gnatowskiego; *Pomoc dla rolników w Austryi*, przez dra Leopolda Caro; *Listy Andrzeja Edwarda Koźmiana* od roku 1830—1863.; *Geneza Lilli Wenedy*, przez Wiktora Hahna; *Ustalenie chronologii biskupów Wrocławskich*, przez ks. dra Jana Fijałka; *Wosk ziemny w Galicyi*, przez dra Wł. Szajnochę. W kronice literackiej znajdujemy sprawozdanie z kilku dzieł treści naukawej.

Kalendarz księgarsko-literacki. Rok IV. na rok 1894. Warszawa. — Nakład księgarni Centnerszwera.

Rocznik powyższy zawiera, oprócz kalendarza kościelno-astronomicznego, rozprawkę *O prawie autorskiem* i *Przegląd księgarsko-literacki*. W *Przeglądzie* znajdujemy zestawienie całej produkcyi literacko-wydawniczej za rok ubiegły z rozklasyfikowaniem na działy. Z tego wypada: Na dzieła sztuki i literatury dzieł 150, poezye i dramat 80, powieści i romanse 120, dzieła religijne 100, wydawnictwa ludowe 50. Najsmutniej przedstawta się dział naukowy. Rocznik ten zakończa katalog książek polskich, wydanych od października 1892 do października 1893 roku. W ogóle mówiąc kalendarz księgarsko-literacki jest treściwym obrachunkiem umysłowego dorobku naszego — o ile to było możebnem.

Zagłoba. Tygodnik Satyryczny. Wychodzi od Nowego roku pod redakcyą Ignacego Nikorowicza. Jak dotychczas różni się on od pokrewnych sobie pism większą powagą humoru, co mu rzeczywiście nadaje charakter pisemka satyrycznego. Typ Baltazara Brukowicza, wiecznego kandydata do Rady miejskiej, niezadowolonego ze wszystkiego, krytykującego każdą robotę, do której sam ręki nie przykłada, należy do bardzo dobrze zaobserwowanych i prawdziwych. Udatne wiersze »Karnawał«, dowcipne illustracye »Nasza młodzież«, »Pieśń bez słów« i w. i. zalecają to pisemko. Wyszło dotychczas trzy numery.



WESOŁY KĄT.

Przestroga.

O rety! ludzie! la Boga!
Baczcie, ostatnia przestroga:
Od grzechów nijakich strońcie,
Bo każą w Wesołym Kącie
Bez względu: młode czy stare,
Stać wam, jak bębnom, za karę!

O ludzie! stare czy młode!
Szanujcie swoją przyrodę,
By niektóremu nie padło
Stać w Kącie, jako zwierciadło
Sowizrzałowe, przytyki
Znosić od wszelkiej publiki.

Ot jest już jeden na froncie
Co stanie w Wesołym Kącie; —
Dygnitarz krajowy z roli...
Pan ten i strzyże i goli —
Niech się więc nadal nie pląta:
Marsz do Wesołego Kąta!

* * *

Fides graeca.

Twierdzisz pan, że gdy w druku było jego [»dzieło«,
Noszące jego podpis — ktoś inny: *eureka!*
Zawołał — i kształt **podły** ono na się wzięło..
Nie, łaskawco, to tylko, tylko *fides graeca*

Na twojem stanowisku autor, kiedy »dzieło«
W świat ma puścić, to mniejsza: z bliska, [czy z daleka
Czuwa, by ono jego piętno na się wzięło —
Inaczej będzie zawsze, zawsze: *fides graeca.*

A kiedy się już stało, że to »piękne dzieło«
Wbrew intencyom autora tak z moskiewska [szczeka,
Dla czego też sumienie autora nie »wzięło«
By cofnął je z obiegu? — *Fides, fides graeca.*

β.

Po 50 latach

przypominają się nam znowu mandataryusze!

Sławetna ta instytucya przed pół wiekiem dokonała *oficyalnie* swojego żywota (*R. i p.*)

Dziś zmartwychpowstaje *w aureoli*; gdyż obdarzeni *mandatem* przez współobywateli ci i owi panowie posłowie, na ochotnika stają się *mandataryuszami*, dzięki specyalnemu pojmowaniu owego *mandatu*, jaki piastują.

β.

Z KSIĘGI MYŚLI.

Co wszystkim naszym pracom dodaje podniety,
W czem też ich nieudania leży smutna racya?
Oto w każdej robocie wykwintne bankiety —
A przy każdym bankiecie wspólna admiracya!

Szpon.

Rozmówka gościa z Lwowianinem.

A. Dlaczego Krakowianie
Wywodzą wiecznie żale,
Że Lwów warcholskie miasto,
Nabożny nie jest wcale!

Dlaczego? wszakże wczoraj
A było to w niedzielę,
W południe przed katedrą
Widziałem ludzi wiele.

Widziałem i powozy
I taką masę ludzi,
Że na sam taki widok
Pobożna myśl się budzi.

To tylko dziwna trochę,
Zaznaczyć się ośmielę:
Że tłum był na ulicy
A próżno dość w kościele.

B. Szanowny Pan raz pierwszy
Widocznie gród nasz wita,
Że się o takie rzeczy
Z nieświadomością pyta.

To była dwunastówka,
Ta sławna msza we Lwowie,
Gdy się we flircie ćwiczą
I panie i panowie.

Gdy ci ostatni nawet
Nie wchodzą do świątyni,
Lecz przy drzwiach o płci pięknej
Uwagi każdy czyni.

Gdy pierwsze uśmiechnięte,
A modne w każdym calu,
W katedrze w ławkach siedzą,
Zupełnie jak w żurnalu.

A. No proszę, a jam myślał,
Że to nabożność szczera...
B. Ha trudno, tak się nieraz
Brutalnie urok zdziera.

To nie jest nabożeństwo
W tym sensie jak ja cenię,
To tylko mojem zdaniem
Próżnostki i zgorszenie.

Szpon.

Z 365 obiadów

pani Lucyny Ćwierczakiewiczowej:

najtańszy ten, który nam kto inny zafundował;
najdroższy ten, któryśmy z naszym przeciwnikiem po »pierwszej krwi« w pojedynku spożyli;
najzdrowszy ten, po którym niedobrze się zrobiło pani teściowej;
najwykwintniejszy ten, na który nas nie stać;
najwspanialszy, z torby myśliwskiej, w kniei;
najskromniejszy ten, który w dzień imienin daje nam szef biura, nie mający córek na wydaniu;
najpodlejszy ten, na który nas nie zaproszono;
najsmaczniejszy ten, który był przyrządzony bez pomocy przepisów pani Lucyny.

β.

Na kolacyi

(u Ludwika).

A. Dlaczego ty dzisiaj nie masz apetytu?

B. Przeczytałem w kronice gazety urzędowej opis tylu obiadów, że czuję gniecenie w żołądku, i jeść mi się zupełnie odechciało.

Signum temporis.

Gdy Lwów dwóch aż ministrów ujrzał w bra-
[mach swoich,
Dwóch ministrów — Rodaków, nibyć to rzecz
[wielka,
Kto nie chciał na żołądki ich urządzał za-
[mach,
Przy bankietach niejedna prysnęła butelka.

Lecz żebyż choć bankiety robili filistry —
To jeszcze, ale gremium doktorów wszech-
[nicy
Także wniosek powzięło, wniosek nader by-
[stry,
By oświaty ministra mieć... przy polędwicy!

Za to na pedagogów Zjazdu komitecie,
Gdzie całe zaproszone profesorów grono
Sprawiedliwie, z uznaniem podnieść trzeba
[przecie,
Trzech — panów profesorów zjawiło się
[pono!

Kolec.

Wydawca i odpowiedzialny Redaktor: **Tadeusz Dwernicki.**